

MTP stoja pod znakiem motoryzacji. A który model jest najładniejszy? Fiat czy Skoda? Wspólnie to pokojowa próba sił.

# 76 Odrośnię

TYGODNIK ŁÓDZKI

17

Rok I. Łódź, 22 czerwca 1958 r. Cena 1 zł

MIECZYSLAW GÓRSKI

## OPERACJA

### „całują rączki”

Pojechałem do Krakowa, aby napisać kryminalny reportaż o tajemniczej bandzie, dzielnych milicjantach i czarnych charakterach. Kiedy oficerowie MO opowiedzieli mi o sprawie Józefa Manterysa postawiłem pierwsze pytanie:

— No dobrze, ale powiedzcie jak to się zaczęło. Przychodzi meldunek o napadzie — jeden, drugi, trzeci, i co? Co robicie, jak dochodzicie do tego kim są sprawcy?

I tak powstał ten reportaż. Reportaż o pracy grupy oficerów MO nad wykryciem jednej z band rabunkowych. O pracy zwykłej, widzianej nie pod kątem wydarzeń sensacyjnych, dramatycznych, lecz przez pryzmat codziennej, żmudnej pracy śledczej MO.



Przystojny brunet uważnie rozgląda się po pokoju, po czym gwałtownie wyciąga z kieszeni pistolet.

— Ręce do góry! Milce! Nie ruszać się!

Drugi mężczyzna przecina druty telefoniczne. Szybкими i wprawnymi ruchami, zaczynają płądrować mieszkanie.

#### Chorągiewki kapitana Biela

Balbina Boroń poprawiała właśnie koldrę w łóżeczku dziecka, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę wejść. Do pokoju weszło dwóch mężczyzn. Starszy z nich, wysoki, przystojny brunet ukłonił się, pocałował Boroń w rękę.

— Czy zastaliśmy pana Boroń?

— Nie, wyszedł. — O, bardzo szkoda, chcielibyśmy kupić u niego transport wazy.

— Proszę, niech panowie siadają, mąż niedługo powinien wrócić.

W pokoju kapitana Biela, na ścianie, w oszklonej gablotce, wisiała mapa woj. krakowskiego upstrzona kolorowymi chorągiewkami. Każda z chorągiewek oznaczała dokonany napad. W początkach listopada na mapie przybyła jeszcze jedna chorągiewka. Wpięta została w maleńkie, czarne kółeczko oznaczające na mapie wieś Zagrody pod Proszowicami.

Od kilku miesięcy do MO napływają meldunki o coraz czę-

str. 10



## ROZMÓWKI TARGOWE

Przed głównym dworcem w Poznaniu wsładam do taksówki i oczywiście pytam o Targi.

Tekst i zdjęcia:  
Wacław Billński

— Mizerne — odpowiada bez namysłu kierowca. — Wycieczki nie przyjeżdżają, żadnego ruchu nie ma. Kto to widział, żeby w czasie Targów taksówka pół nocy czekała przed dworcem na gościa?

★

Pani Z. od lat odnajmuje w czasie Targów przybyłym z całej Polski swoje pokójki.

— Tegoroczne Targi? — żali się. — Przez nie jestem stratna. Odmalowałam pokoje, żeby było przyzwoicie, a tu gości jak nie ma, tak nie ma. Pan jest pierwszy.

★

Z inżynierem J. spotkaliśmy się w jednym z barów mlecznych na terenie Targów.

— Nareszcie przyszedł po rozum do głowy z tymi wycieczkami — mówi inżynier. — Cóż to był za sens przywozić tutaj setki tysięcy wycieczkowiczów, dopłacać do tej imprezy grube miliony, a Międzynarodowe Targi uodabniać do jarmarku w Miawie. Po raz pierwszy mogłem sobie spokojnie obejrzeć interesujące mnie stoiska i



str. 3



Sputnik II — eksponat dziś już historyczny. Za rok — kto wie? — może ujrzymy na tym miejscu model pierwszego statku międzyplanetarnego?



Postęp, postęp! Jugosłowiańskie autobusy zadziwiają elegancją i sprawnością techniczną.

Nowe Miasto nad Pilicą, w połowie czerwca 1958.

Zdarzyło się, i to może po raz pierwszy, naszemu budownictwu, że słów nie rzucono na wiatr. Wiceminister resortu, do którego mieliśmy dotąd najwięcej pretensji, dotrzymał słowa, danego miastu. Liczne, zniszczone w dni huraganu domy przywdziały już nowe, jak by odświeżone czapki dachów. Pomoc była szybka, niezbyt sprawna, ale za to w miarę naszych skromnych możliwości — wszechstronna. Dużo było wokół tego wszystkiego ruchu, zapалу i serca. Szkoda jednak, że niekiedy zabrakło rozsądku...

str. 5

Tekst i zdjęcia

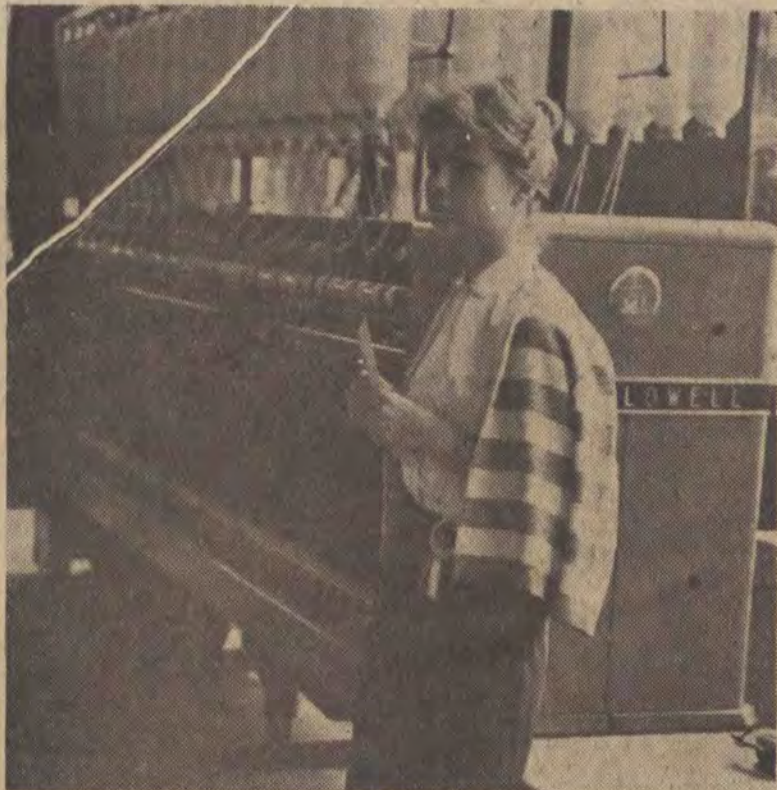
WŁODZIMIERZ

S. MAREK



ze str. 1 

# Rozmówki targowe



O! co nam się najlepiej podobało w pawilonie USA.



Już w pierwszym dniu Targów kilkanaście tysięcy osób nabrało przekonania, że przeloty transoceaniczne najwygodniej odbywać samolotami KLM.

bardzo sobie chwałę tegoroczną organizację.

Pan K., dyrektor fabryki elektrotechnicznej:

— A ja jestem zdania, że masowe wycieczki są potrzebne. Weźmy na przykład fabrykę, w której pracuję. Wydaje mi się, że jeśli duża część załogi obejrzy ekspozycje zagraniczne, a zwłaszcza ekspozycje Czechosłowacji i NRD, to chociażby przez samą ambicję, będzie się starała podnieść jakość naszej produkcji.

★

A oto sąd ekonomisty.

— Tegoroczne Targi stoją pod znakiem recesji na Zachodzie. A więc po pierwsze: wystawia mniej zagranicznych firm. I po drugie: przestrzeń ekspozycji firm zachodnich jest większa niż w latach ubiegłych. Wiadomo, poszukiwania rynków zbytu.

★

Kolega W., dziennikarz, bywalec Międzynarodowych Targów.

— Tegoroczne Targi stoją w cieniu Wystawy Brukselskiej. Rzucą się to w oczy, chociażby w pawilonach krajów socjalistycznych, które, poza Czechosłowacją, dały ekspozycje poniżej swych możliwości.

★

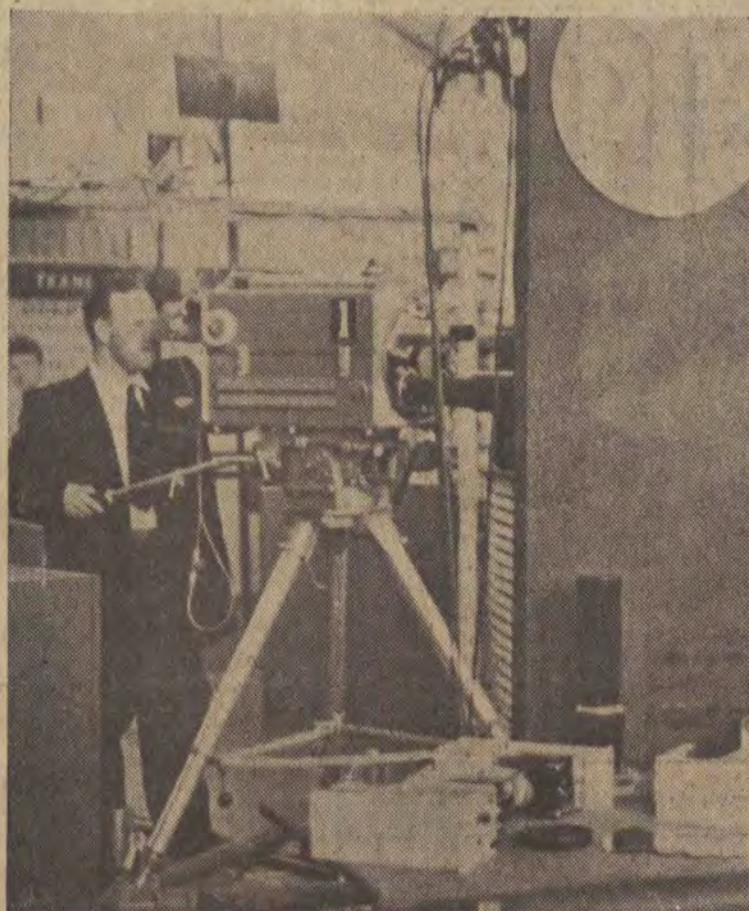
Nauczycielka gimnazjalna:

— Najładniejsza ekspozycja polska. W niektórych dziedzinach, na przykład we włókiennictwie, nasze ekspozycje nie ustępują w jakości i wyglądzie zachodnim. Żeby tak jeszcze towary w naszych sklepach nie ustępowały tym, jakie pokazujemy w pawilonach polskich na wystawie...

★

Irena B., panna na wydaniu:

— Phi... Co to za Targi bez kiermaszu. Nic nie można kupić. Gdyby nie to, że poznałam jednego Włocha, to szkoda byłoby pieniędzy na podróż.



Przed paru laty to stoisko było największą sensacją Targów. Dziś angielska firma PYE ma już konkurencję nawet w polskim pawilonie.

★

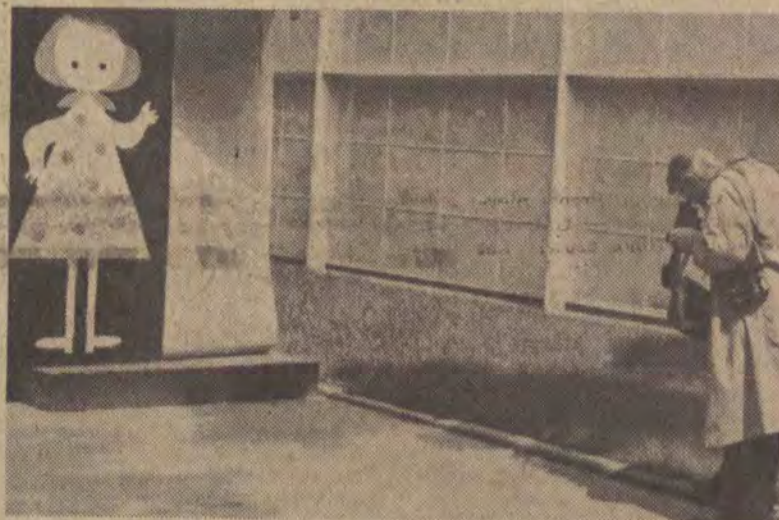
Pewien główny księgowy:

— Tak, panie szanowny. Trzydzieści osiem państw — uczestników! A z wystawiających firm około trzydzieści zatrudnia ponad sto tysięcy pracowników. Krupp, Ford, Singer, Fiat, PYE, Ciba! Koncerny, panie szanowny, koegzystencja. Targi, co się zowie — międzynarodowe.

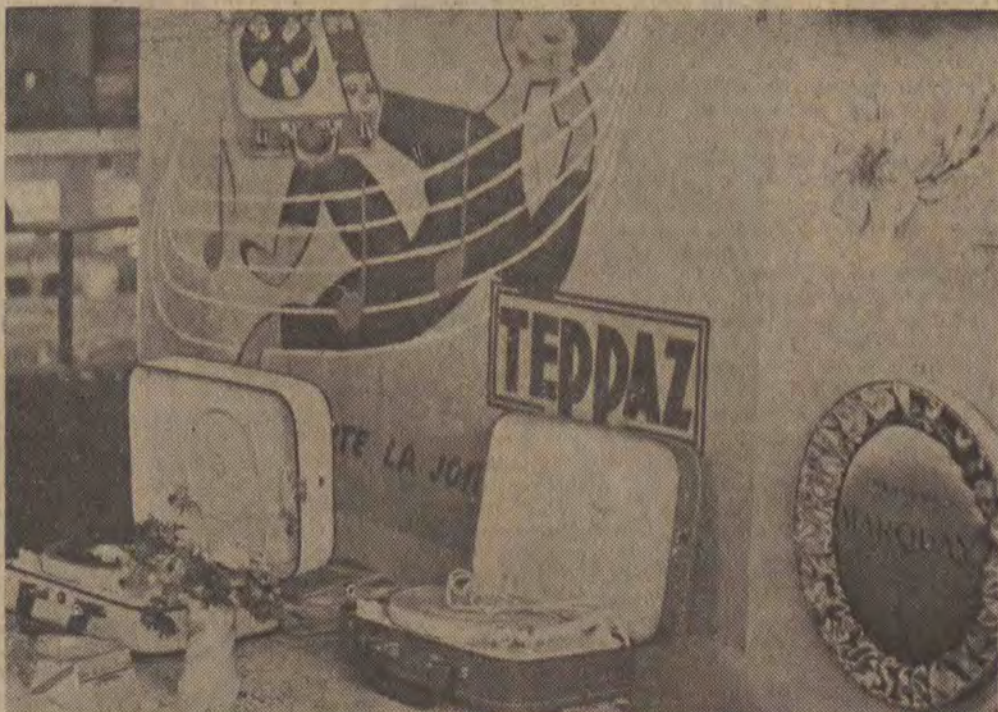
Tekst i zdjęcia  
WA C Ł A W  
B I L I Ń S K I



Wielkie brawa dla artystów, projektantów polskiej ekspozycji!



Goście zagraniczni specjalizują się w fotografowaniu naszych pięknych pań...



Patefony, perfumy... Czy też minister handlu zagranicznego znajdzie dewizy na taki import?



Reklama jest dźwignią handlu! Martell, Camus... no to chodźmy na mały kefir.

OSCAR LINDAY

PRZEŁOM

— Słuchajcie! Słuchajcie uważnie! To jakaś niesamowita historia!

Radiotelegrafista Weber przetrząsnął fonię odbieranego meldunku ze słuchawek na głośnik.

— „Uwaga lokalizuj! Uwaga lokalizuj! Długość 181 stopni, szerokość 27 stopni. Powtarzam: Sto osiemdziesiąt jeden — dwadzieścia siedem. Idą ławą. Bardzo szybko. Bardzo dużo jednostek. Widzę wyraźnie lotniskowce. Jeden, dwa... pięć lotniskowców! Bardzo dużo jednostek. Trudno policzyć. Około sześćdziesiąt. Atakują nas myśliwce... Uwaga! Powtarzam meldunek!”

Weber wybiegł z kabiny radiowej i wpadł jak bomba do pokoju oficera dyżurnego. Jeden rzut oka na librymią mapę i zrozumiał niebezpieczeństwo sytuacji. Japończycy byli zaledwie 250 km od Midway! A więc baza była już w zasięgu ich bombowców. Należało działać błyskawicznie.

Oficer podniósł równocześnie dwie słuchawki telefoniczne. Do pierwszej zarządził natychmiastowy alarm bojowy. Przez drugą przekazał informację do bazy w Pearl Harbor.

Przeciągły jęk syren alarmowych napełnił powietrze.

W tym czasie rozpoznawca „Catalina” — bohater zwiastującego meldunku — cudem wywinął się japońskim myśliwcom i na pełnych obrotach silnika wracał do bazy.

Był 3 czerwca 1942 roku.

Czteromotorowe „Latające Fortece” (Fortes II) wojno, majestatycznie odrywały się od betonowego wybiegu bazy w Midway. Późne popołudnie zawiesiło na pułapie gęste, postrzępione chmurki.

Kapitan Hollis uważnie śledził zegary kontrolne. Spokojnie dościsłał akcelerator. Drgająca strzałka szybkościomierza przekroczyła 300 km.

Teraz lecili spowolnić młeczną mgłą obłoków. Częste przeswity dawały jednak dobry widok.

— Dołem transportowce! — w słuchawkach brzmiał głos obserwatora.

Szerokim łukiem wyszli z chmur. Strzelec pokładowy z tylniej wieżyczki zameldował, że idą również dalsze maszyny.

Nagle od dołu buchnęły ku nim strumienie kolorowych pałoczków świetlnej amunicji. Wytracając wysokość lecili z wzrastającą włąz szybkością ku transportowcom, kierując się wzduż osi okrętów.

— Przygotować zrzut!  
— Komora otwarta!  
— Trzymać kurs równo!

Wewnątrz bombowca nksplodował nagle mały pocisk przeciwlotniczy, nie czyniąc jednak szkody. W słuchawkach, które zasłuchiwały uszy każdemu z dziesięciosobowej załogi, trwała nadal stereotypowa konwersacja.

— Wiatr trzy, kierunek 272. Gęstość zero siedem.

— Szybkość 394.  
— Trzymać kurs, cholera!  
— Uwaga, zbliżamy się na cell!  
— Zwalniam bomby!

Z bombowej komory wysunęło się jeden za drugim osiem 500-kilogramowych pocisków.

— Zwiększyć pułap!  
— Kurs dobry!  
— Zwiększyć szybkość!

Eksplozje rozdarły gładką tafłę oceanu. Jedna bomba ugodziła cel. Widzieli wyraźnie.

Wszyscy przywarli twarzami do okienek. W dole rozszalała orgia wybuchów. Gęsty, czarny dym zakrył flotę.

Wrócili szybko do bazy.

Nocą konwój japoński dopadły torpedowe „Cataliny”.

Rankiem, 4 czerwca, 110 bombowców japońskich zaatakowało Midway. W morderczym ogniu zmasowanej artylerii przeciwlotniczej spadło w ocean 40 maszyn nieprzyjacielskich. Reszta wycofała się nie wykonawszy zadania.

Tymczasem „Latające Fortece” z Midway i Pearl Harbor bezustannie operowały nad Pacyfikiem, a flota amerykańska, poprzedniego dnia znacznie oddalona, pędziła pełną parą ku polu bitwy.

5 czerwca trzy amerykańskie lotniskowce — „Hornet”, „Yorktown” i „Enterprise” weszły w zasięg walki. Bój rozszalał na dobre.

Peterson wypchnął drażek sterowy. Nurkujący „Dontless” przechylił się i runął w dół. Gład-

„Catalina” lokalizuje... — Pierwsze bomby zwycięskiej bitwy — Odwet za Harbor — Koniec błyskawicznej wojny

ki pokład japońskiego lotniskowca pędził do góry z zawrotną szybkością. Bomby wyszły samoczynnie. Teraz potworne ciśnienie krwi zamroczyło na moment Petersona. Przeciągłym wyciem silnik wyrównywał lot.

— Halo Peterson! Halo Peterson! — rozległo się w słuchawkach. — Trafieś! Trafieś! Gratuluję.

Lotniskowiec „Akagi” poniał jak pochodnia. Bomby przebiły pokład i eksplodowały w zbiornikach paliwa. Żaden cud nie mógł uratować największego lotniskowca cesarskiej floty.

Chmury samolotów amerykańskich rzuciły cień na wielką armadę admirała Yamamoto. 6 czerwca okrety jego, prawie pozabawione osłony lotniczej, ruszyły do odwrotu. Ale admirał Spruance rzucił natychmiast całą flotę amerykańską w pościg. Teraz, albo nigdy!

Torpedowe „Cataliny” i nurkujące bombowce zatapiają dwa dalsze lotniskowce: „Kaga” i „Soryu”, ciężko uszkodzają dwa potężne pancerniki „Kongo” i „Nagato”. Na dno idzie ciężki krążownik, kilka transportowców i niszczycieli.

W trakcie zaciętej walki, ugodzony torpedami tonie amerykański lotniskowiec „Yorktown”. Choć jest to duża strata, to przecież „Yorktown” jest jedynym okrętem, jaki tracą Amerykanie w tej bitwie.

Japończycy natomiast są zdruzgotani zupełnie. W odwet za „Yorktown” samoloty z lotniskowca „Enterprise” zatapiają 7 czerwca w tej bitwie lotniskowiec japoński — „Hiryu”.

Każdy z czterdziestu pięciu okrętów japońskich ocalałych z

pogromu ma mniej lub więcej poważne uszkodzenia. Szczególnie silnie uszkodzone są wszystkie trzy biorące udział w wyprawie pancerniki oraz płyty pozostały lotniskowiec\*).

Przed zupełnym pogromem ratuje flotę cesarską burza, która definitywnie wyłącza z akcji amerykańskie lotnictwo.

Czytelnik, oswojony już trochę z wojenną terminologią morską, pozwoli zapewne na kilka podstawowych informacji o wzajemnym ukladzie sił morskich USA i Japonii oraz o wpływie, jaki na ten uklad wywarły dwie niefortunne dla Japończyków bitwy — na Morzu Koralowym i pod Midway. (Patrz tabela niżej).

Do zagadnienia ukladu sił nie będziemy już zresztą wracać, koncentrując uwagę tylko na przebiegu operacji bojowych.

Szczególną uwagę należy zwrócić na pancerniki i lotniskowce — jednostki o najpoważniejszym znaczeniu w wielkich operacjach morskich. Tu uklad sił zmienił się radykalnie.

Ten obraz nie jest zupełny. W rejonie Pacyfiku i Oceanu Indyjskiego operowały również pewne siły morskie Anglii, Holandii i Australii. Równocześnie jednak znaczna część wyszczególnionych w tabeli jednostek floty amerykańskiej osłaniała konwoje na Atlantyku. W każdym razie po bitwie u wybrzeży Midway siły morskie obu walczących stron mniej więcej wyrównały się.

Do końca 1942 roku schodził ze stoczni amerykańskich 8 supernowoczesnych pancerników. Do końca wojny Amerykanie wyprodukowali ich łącznie 17. Ponadto 4 z 6 zatopionych w Pearl Harbor pancerników również włączają się

do walki z końcem 1942 r. Japończycy wyprodukowali tylko 2 nowe pancerniki. W tym jeden olbrzym, największy jakiego do dziś spuszczono ze stoczni wojennych — „Yamato” — odegrał ostatni akord ku chwale gasnącego cesarstwa.

Proporcja lotniskowców jeszcze szybciej przeważa szalę na niekorzyść Japonii. Z końcem 1942 r. Amerykanie spuszczają na wodę 12 lotniskowców, a zorientowawszy się w podstawowym strategicznym znaczeniu tego rodzaju broni, rozbudowują produkcję i do końca wojny opuszczają stocznie około 100 lotniskowców różnej klasy.

W połowie 1944 r. przewaga materiałowa Ameryki jest tak druzgocząca, że wszystkie pesymistyczne zapowiedzi Departamentu Wojny stają się nieprawdopodobnym anachronizmem. To, że w takim ukladzie sił mogło dojść do zbrodni atomowej w Hiroshimie i Nagasaki, z punktu widzenia militarnego było nie tylko nie uzasadnione, ale nawet z nim sprzeczne.

Powróćmy jednak do aktualnej sytuacji. Japończycy mają jeszcze wiele do powiedzenia!

Bitwa pod Midway była bitwą o Australię, choć toczyła się tysiące mil od jej wybrzeży. Yamamoto postanowił naprawić swój błąd z pierwszej fazy wojny i przeciąć amerykańskie linie transportowe w najczulszym punkcie — na Hawajach.

Największa od 350 lat klęska japońskiej floty nie tylko udaremniła ten zamiar, ale również pozwoliła Sprzymierzonym przejść do ofensywy taktycznej, na razie na małą skalę.

7 lipca — okrągły miesiąc po bitwie u Midway, a dwa miesiące po bitwie na Morzu Koralowym — poprzędzone desantami spadochronowymi lądują formacje amerykańskiej piechoty morskiej na Guadalcanal, rozpoczynając sześciomiesięczną epopeję tej wyspy. Stałowy klin wbił się od południa w strategiczny perymetr admirała Yamamoto.

(d. c. n.)

\* Straty lotnicze obu stron w tej bitwie były ogromne. Amerykanie oficjalnie przyznali się do straty 169 samolotów, Japończycy — do 275. Choć ilość ta przekraczaa dzienne rekordy zestrzałów w bitwie nad Londynem, niektóre źródła wskazują, że efektywne straty obu stron były 2-3 razy wyższe!

| Nazwa jednostki                 | przed 7.12 |        | po 7.12 |        | po Midway |        |
|---------------------------------|------------|--------|---------|--------|-----------|--------|
|                                 | U.S.A.     | Japon. | U.S.A.  | Japon. | U.S.A.    | Japon. |
| Pancerniki                      | 21         | 18     | 14      | 18     | 18        | 15     |
| Lotniskowce                     | 8          | 14     | 8       | 14     | 6         | 7      |
| Ciężkie krążowniki              | 24         | 15     | 20      | 15     | 19        | 12     |
| Lekkie krążowniki               | 27         | 28     | 22      | 28     | 22        | 25     |
| Kontortorpedowce (niszczyciele) | 133        | 110    | 121     | 110    | 109       | 94     |

JÓZEF ANTONI SIERZPUTOWSKI

KORESPONDENCJA

REQUIEM DLA CMENTARZY

Szanowny P. Redaktorze! Niech Pan przyjmie refleksje, jakie mi się nasunęły w związku z art. „Requiem dla kirkutu” w nrze 15 „Odgłosów” i z licznymi zajściami na pogrzebach „heretyków”.

Jak wiadomo u wielu ludów panował higieniczny zwyczaj palenia zmarłych na stosach, a nie minęło jeszcze tysiąc lat, jak go stosowali nasi słowiańscy przodkowie. Pomijając cyrkulowanie bakterii za pośrednictwem rozmaitych robaczków, kretów, myszy i szczurów cmentarnych — dość wspomnieć o wylęgach, które zakażają powietrze nad cmentarzami. Ludzie rozumieją to już ze 200 lat temu i zaczęli likwidować cmentarze przy kościołach, a zakładać za miastem. Oczywiście nowość wywołała tu i ówdzie sprzeci-

wy. Ludzie oburzali się. „To jakaś ekstrawagancja nowomodna! Kto by tam chciał na przedpłcku za rogatką leżeć niczem samobójca lub zbrodzień, skoro służy mu miejsce przywołne na własnym parafialnym smętarzu?”

Bojkot minął wraz z przyzwyczajeniem, ale rozbudowa miast stała wehłania owe niegdyś podmiejskie cmentarze.

Rozważmy względy urbanistyczne. — Na planie każdego miasta uderza stosunkowo wielka powierzchnia cmentarzy różnych wyznań. Ścieśnieni w małych izdebkach mieszkańcy obliczają, ile to tzb mieszkalnych powstałoby na miejscu tych cmentarzy, młode matki wzdychają za zielącami i parkami ze zdrowym powie-

trzem dla dzieci, a urbanisci bledzą się nad trudnościami komunikacyjnymi, które rozwiązałyby przeprowadzenie szerokiej arterii przez tereny cmentarne.

Najpierw jednak musi się utrwalic powszechne przekonanie, które zwyciężyło lub zwycięża w wielu wysoko cywilizowanych krajach, że palenie zwłok jest dogodniejsze i tańsze, gdyż odpada cena miejsca na cmentarzu, konserwacji grobu, a zwłaszcza darniowania mogil... Palenie zwłok nie oznacza przymusowej i natychmiastowej likwidacji cmentarzy. Długo jeszcze należy zostawic swobodny wybór. Pierwsze tego rodzaju próby wzbudzą podobne opory, jak podmiejskie cmentarze w XVIII wieku. Takich oporów nie zna już wielu kulturalnych Szwedów, Anglików, Holendrów, Duńczyków czy Niemców.

Oczywiście, gdyby cmentarze w przyszłości straciły ra-

cję bytu, względy historyczne nakazują zachować np. najstarszą, istniejącą od r. 1790 część warszawskich Powązek z katakumbami, z grobami setek wybitnych postaci historycznych, z założoną przed 30 laty Aleją Zasłużonych... Cmentarz taki pozostałby dla przyszłych pokoleń zabytkiem — instytucją tradycyjnej i koniecznej ze względów wychowawczych — pamięci narodowej. Inna rzecz, że mamy zbyt dużo cmentarzy, a mało pomników wielkich Polaków. Pomniki lepiej odnawiają pamięć niż nagrobki.

Inna to rzecz, że przedwczesnemu istnieniu nagrobków trzeba protestować.

Najpoważniej należy liczyć się ze względami religijnymi. Obrzędy chrześcijańskie, żydowskie, muzułmańskie i inne wymagają zakopania zwłok w ziemi, na cmentarzu. Rzymianie grzebili zmarłych przy drogach. Do

chrześcijańskich uczynków miłosierdzia należy też: „Umarłych grzebać”.

Słusznie. Zostawianie umarłych na powierzchni ziemi zatruwałoby powietrze zgnilizną rozkładu, a zwierzęta roznosiłyby zarazę. Napisało: „grzebać”, bo taki obyczaj panował w Palestynie, Rzymie i krajach, w których zaczynało się chrześcijaństwo. Gdyby rozwijało się na ziemiach starsosłowiańskich — siódmy uczynek miłosierny względem ciała brzmiałby: „umarłych palić”. W intencji tego przepisu nie leży myśl izolowania czy niszczenia zwłok, lecz higienizacja. Oweczesny człowiek nie rozumiał jej, dlatego więc światłe jednostki dawały wskazania zdrowotne pod autorytetem przepisów religijnych (jak posty, 7 dzień odpoczynku, mykwa u Żydów, zakaz jadańa wiewprzowiny w klimacie kolebek religii żydowskiej i muzułmańskiej itp.).

Obecne religie nie przejęły dogmatu o życiu duszy uzależnionym od stanu ciała. Wszystkie stoją na gruncie „wiecznego życia duszy” — niezależnie od tego, czy ciało zostanie zakopane, spalone, zmiażdżone, rozszarpane, pożarte przez dzikie bestie lub rekiny.

Pogrzeby na statkach morskich polegają na zsuwaniu zmarłych do morza. Obrzęd taki odbywa się często z udziałem księdza, który śpiewa „Requiem” i kropi ciało wodą święconą — jak przed spuszczeniem trumny do grobu. Tego samego obrzędu można dokonywać przy każdej formie pogrzebu.

Kościół chrześcijański troszczy się o los duszy, umożliwila pojednanie z Bogiem najokrutniejszym zbrodniarzem skazanym na śmierć. Święta Inkwizycja zalecała nawet spowiedź kacerzom przed spaleniem ich żywcem na stosie — bez szkody dla duszy.

Palenia ciała nie zabrania żaden dogmat religijny. Opory mogą istniec jedynie w tradycji obyczajowej, która z natury rzeczy zawsze stopniowo ustępuje racjonalnemu postępowi. Lecz postępowo można przyspieszać.

Bo są tacy, niestety, którzy wciąż jeszcze leżą między ludźmi, niby słońce do składu porcelany. Albo raczej:

„Zdarzyło się, że słoń ratował małe myszki. Opadło ich wspólne nieszczęście, pożar puszczy. Zagarniał stworzonka delikatną swą trąbą, wyrzywał je z pogorzelska, ale kilka przy tym rozdeptał. Po noc nawet nie zdawał sobie sprawy z tej swojej słońkowej przysługi...”. Ot, bajeczka, a pasuje jak ulał. Pasuje do przypadku: Nowe Miasto nad Pilicą — połowa czerwca 1958 r.

Wiąza między nieszczęśliwych ludzi te nasze słońce, może i chcą najlepiej, a depczą. A wszystko to dlatego, że kultura władzy w Polsce Powiatowej nie stoi najwyżej.

Wciąż jeszcze nie bierze się pod uwagę złożoności procesów zachodzących w środowisku ludzkim nieszczęśliwym i tradycyjnym, rzadko kto się zastanawia nad psychiką obywateli zarządzanego miasta.

Wreszcie znów nie pomyślano do końca i to nie tylko na tym szczeblu najniższym. Zostawmy jednak te rozważania, przejdźmy do konkretów.

Nowe Miasto nad Pilicą w miesiąc po huraganie, który zmiażdżył potężne drzewa, domy, zabijał ludzi... Nowe Miasto. Zawiodłeś się, żądny mocnych wrażeń turysto. Przybyłeś zbyt późno. Po dwóch tygodniach było już późno. Dziś niewiele już tu zobaczysz. Szybko uporały się Wojskowe Zarządy Budowlane i Warszawskie ZBM ze śladami huraganu, szybko zabrali się do pracy właściciele. Tylko południowa strona rynku została i ulica Warszawska. To tam właśnie działają... słońce. Przyjrzyjmy się ich ratownictwu.

Zagroda pana Henryka Jagielskiego. Rynek nr 12. Zerwany dach, zwalony komin i część sufitu, na framudze drzwi tabliczka warszawskiej „fajerkasy”. Rok 1870.

— W tym oto pokoju — pokazuje pan Jagielski — letnikowała kiedyś Eliza Orzeszkowa. Dom zaliczony był do zabytków, chroniony. Nawet nie pozwalali go przebudować.

A jak teraz przedstawiają się sprawy Jagielskiego? Otóż, od czasu kiedy na ratunek ofiarom pośpieszyli między innymi i słońce, Jagielski nie ma wytechnienia. Do „fajerkasy” zaliczyli mu tylko 20 proc. Wyniosło to 19.400 złotych. Dał na razie 10.000. Jednocześnie pan architekt powiatowy z Rawy Mazowieckiej przysłał ostre pismo, polecając rozbiórkę domu na koszt własny Jagielskiego, w terminie do 30 czerwca br. — Dom nadaje się już tylko do rozbiórki — ocenili architekci. Konserwator wojewódzki pan mgr Ciekliński poszedł Jagielskiemu w sukurs. Dom będzie odbudowany — zdecydował — i Jagielski zabrał się do odbudowy. Lecz nie dane mu było dokończyć jej w spokoju. Obiecano Jagielskiemu 200 tys. pożyczki, byle wyniósł się z rynku.

— Tu staną bloki — zdecydowano. — Biura dla MRN i mieszkania — mówił mi sekretarz MRN ob. Biskupiak.

Konserwator wojewódzki zmienił więc szybko decyzję, określając teraz stopień zniszczenia na 85 proc. Dziwna rozbieżność z tym za co chce zapłacić „fajerkasa”, prawda?

A Jagielski na to: — Nie rozbiore! Niech mną nie kolują, to odbuduję i bez ich „pomocy”... Potem pokazuje mi dokumenty.

Było to prawie sto lat temu. Dziad kupił ten kawałek gruntu od oficjalistów generała-rezydenta Granowskiego.

W akcie czytamy: „Działo się to w powiecie rawskim, guberni piotrkowskiej, w kancelaryj niżej wyrażonego rejenta, w domu pod liczbą 20, przy rynku stojącym. Zbywał były fabrykant sukna a teraz Stróż Magazynu Solnego Maciej Zgliński a kupował Myster Siodlarski Tendor Jagielski”. Potem wzmianka o tym, że dom w roku 1863 pogorzał. Postawili nowy, ubezpieczyli, od stu lat placą „fajerkasę” i od stu lat z ojca na syna prowadzą warsztat siodlarski.

— Jakże ja taki punkt zostawię — mówi Jagielski. — Przecież nie

pójdę z tym za miasto. A wreszcie jak, za co? To, co się zarobi, ledwie na życie starca, a co dopiero gdyby przyszło 200 tys. spłacać? Nie, to niemożliwe!

Potem pokazuje mi jak „tymi pazurami” pogorek równał, jak schodził do jaru, drzewka sadził. — Dziś też poustawiałem wszystko co huragan wyrwał. Panie, te parę metrów gruntu to cała moja radość. A i moich starych sióstr... Rozumiemy. Sytuacja rzeczywiście trudna. Bo przecież, kto zapewni tym steranym przez życie ludziom starość?

— Wspominali, że dadzą w zamian kawałek gruntu po jenerale, od spółdzielni. Ale przecie gole to i za jarem, a ponadto my już nauczeni. Już dziad się o tę ziemię z jeneralem prawował i przegrał. Na swoim najpewniejsze...

O BOK: Stary siodlarz, Henryk Jagielski, przed swoim nieszczęśliwym domem...

NIZEJ: Życie ma swoje prawa. Jak dawniej, co poniedziałek, odbywa się w Nowym Mieście jarmark. Kiedy tam byłem przed miesiącem, handlowali jeszcze nasionami. Dziś wśród innych towarów, idą ciuchy. Te z PeCeKa.

NIZEJ PO PRAWEJ: Babcia sprzedaje kropidelka. — Można tym pozamiatać i „starego” złoć, ale co im tam. Dostali dosyć od huraganu... I słoń... (dopisek mój — W. S. M.)

NA DOLE PO LEWEJ: I jeszcze jarmark. „Króla bali” nie obchodzą słońce, nie ma kłopotu z odbudową. Co tam, handluje się...



# Słońce tratują NOWE MIASTO

Tekst i zdjęcia  
WŁODZIMIERZ S. MAREK

Nie bardzo to zrozumiałe, ale przecież ludzie są ludźmi. Ciężko walczyli o te parę metrów ziemi, chcą na nich zostać. Zwykle ludzkie przywiązanie, wieloletnie przyzwyczajenie, siła tradycji stanęła naprzeciw wymaganiom nowoczesnej zabudowy miasta. Czy można taki problem rozwiązać metodą słońca?

To samo parę kroków dalej u Anny Rogowskiej. Ale gdzie tam! Gorzej, po stokroć gorzej. Babina ma już 67 lat, kulawa jest i musi być pod stałą opieką. Sprawuje ją sąsiadka, Orzeszkowa. Właśnie ona opowiada o pierwszej wizycie słońca:

Zjawił się tu na drugi dzień. Byłam za domem, a Rogowska żołnierze zwieźli na dół, nieprzytomną. Jeden taki nazywa się Wróbel. Szarpał drzwi, chciał je wylamać. Jakby mało było szkody. Gdy podeszłam i zwróciłam uwagę, wskoczył na mnie: „Nie gadać bo coś ciężkiego spadnie na głowę”. I to się nazywa urzędnik. W parę chwil potem jak ściany waliły się na nas. I groził czymś ciężkim. Żeby go...

Tak. To się nazywa być słońciem.

U Rogowskiej też pismo architekta, też termin, też rozbiórka na koszt własny i to pod karą. A „fajerkasa” dała tylko 7 tysięcy. Razem ma być 17 tys. — A co ja za to pocznę?

Rogowska jest inwalidka. Stale choruje. Żyje z magła, który tu od lat kręci. Co pocznie Rogowska za miastem, kto jej da opiekę, utrzymanie? Kobieta do domu starców iść nie chce i ma chyba do tego konstytucyjne prawo...

U 65-letniego Antoniego Orzeszka i weterynarza Edwarda Maksynta nieco lepiej. Tam przynajmniej wojskowi odbudowali już domy, jest chociaż gdzie mieszkać. Ale i tu architekt nie ustępuje. Treść pisma jak wyżej.

— A gdzie ja krówkę uchowam, a gdzie prosiaki — skarży się stary Orzeszek. To samo Jagielski, Rogowska, Maksynt. To samo ci,



k którym nakazali rozebrać domy na Warszawskiej. Przecież nawet kiedy przydzielą mieszkania w projektowanych blokach (w co ludzie wcale nie wierzą, bo mają tam być i sklepy, i biura MRN, i Bóg wie co jeszcze) to, po pierwsze, za ile lat? Po drugie w blokach nie można trzymać trzody i bydła, prowadzić magła, warsztatu rymarskiego.

— Zresztą zaraz to zastrzegli — mówi stary Orzeszek...

Cóż? Sprawa nieprosta. Wprawdzie Nowe Miasto odbudowano w tempie iście niespodziewanym, ale równocześnie jak się tam słońce poruszają! Depczą. Przecież rozmówcy moi, to ludzie załamani. Nie tylko huraganem, ale i pomocą ze strony słońca.

Jesteśmy po stronie tych wszystkich, którzy pragną nowszy rynek Nowego Miasta zamienić w urbanistyczne całko. Ale po pierwsze: — pomyślmy, jakim kosztem (mowa nie tylko o pieniądzach)?, po drugie — czy rzeczywiście te dwa domy na poletkach Jagielskiego, Rogowskiej, Orzeszka i Maksynta będą stanowiły o urbanistycznym pięknie rynekczku? Przecież wokół pozostaną i tak szpetne rudery. Te dwa bloki raczej rozwalą harmonię, urbanistyczny porządek rynku. Czy nie można by ich budować przy starszym rynku, we właściwym centrum? Myślę, że byłoby to szczęśliwsze. Po trzecie — dlaczego wokół tych biednych ludzi tyle awantur? Dlaczego ośmieszają się urzędnicy, wydający takie nakazy starym, zniszczonym ludziom? No, zrób coś kulawej staruszce Rogowskiej, niech rozbiere do 30 czerwca wielkie chałupisko!

I na koniec o jeszcze jednej słońkowej akcji. Otóż nasze ofiarne społeczeństwo i tym razem sypnęło darami. I tym razem przyszły paczki, pieniądze. Rozdzielnictwem zajęli się urzędnicy łódzkiego PCK i miejscowej Rady Narodowej. Ludzie mówią:

— Dawali po kilkanaście kilo smalec, ale tym mniej poszkodowanym. Kubłami to nosili. Wielu sprzedało to na wódkę, znamy fakty. Ciuchy dostawali te, co pyskowały i nachodzili najwięcej,



Zaraz potem na jarmarku się to wszystko znalazło, tu i w Odrzywole. Run na ciuchy! W pobliskim Brzostowcu kartofle brał — kto chciał. Tylko nie ci najbiedniejsi. Ci, co ich nie stracili, brali po dwa, trzy łózka z pełną pościelą, potem dla innych zabrakło. Dla tych najbardziej potrzebujących.

Mówi członek komisji z ramienia MRN, Maria Korzuchowska: — Dlatego tak szło, bo urzędnicy z PCK śpieszyli się. Dla nich najważniejsze było spalić to wszystko i rozliczyć się. Tak, rozliczyć się — to najważniejsze.

Znów słońce na firmamencie. Ale tu nie tylko o problem słońca chodzi. Tu idzie także o częścicowe przynajmniej zaprzeczanie wielkiego serca społeczeństwa, jego wspaniałej ofiarności. To jest już co najmniej skandal.

**OD REDAKCJI**  
Do poprzedniego numeru „Odgłosów” zakradł się — przy nieuwadze naszej korekty — już nie chochlik, lecz cały chochoł drukarski i w reportażu Z. Nowickiego pt. „Na spotkanie przygody” oraz w felietonie A. Grabowskiej poprzestawiał wiersze. Zapewniając Czytelników, że wspomniana w cytowanym tytule „przygoda” nie na szukaniu poprzestawianych wierszy miała polegać — przepraszamy za to nieprzyjemne przeoczenie.

RED.

## DWIE PORY DNIA

Zbigniew Kosiński wydał w r. ub. zbiór wierszy w „Wydawnictwie Łódzkim” pt. „Port egzotyczny”. Prócz tego prowadził poetycki teatrzyk eksperymentalny „Jaskinia”.

— Co pan wydaje w najbliższym czasie?

— Tomik nowych wierszy pt. „Anioł lewy”. Następnie wspólnie z Lechem Budreckim piszemy pełnospektaklową sztukę teatralną. Tytuł: tajemnica!

— Jakże ma pan zamierzenia na przyszłość?

— Powrócić do pracy w teatrze. Poza tym chciałbym napisać o moich największych przeżyciach: I nagroda poetycka za rok 1957 Małgorzaty Hillar i zgubienie grzeblenia.



### I.

Pośrodku wody,  
która stała się przechodniem —  
— brzeg tylko przeczuty  
ma smak ust

Pośrodku wody  
marnotrawienie czasu  
Nienasyceńi z dwuocnej płaszczyzny  
wyniosłej

i niskiej  
zwieszony psim językiem  
lże jedno moje oko radością  
drugie oko nienawiścią  
Jest jeszcze  
sen białej plamy  
na bieli tak szczelnej że zwykłej  
i gorzkie słowo starego Boga  
to ten

który za mną stoi  
i nie może doczekać się chłodu modlitwy.



### II.

„... — oto właśnie idzie  
— zaraz ci powiem  
— słucham  
— do licha nie mogę jakoś...”

Zapytałem dwie kobiety  
oczywiście dwie kobiety  
potem wszystkich zapytałem  
i mężczyzn wszystkich  
i wszystkich

„... — nie łam sobie na tym mózgowicy  
osła batem nie popędzisz, a kiedy  
cię kto o to jeszcze zapyta, to mu odpowiedz...”

### III.

Dałem głos i ręce  
winnym latoroślom  
rybom  
i dzieciom sąsiada —  
na każdy poniedziałek  
a na wtorek  
po łyżeczce kolorowego płynu  
na pozostałe dni w tygodniu  
na radość zrozumiałą —  
wprost sprzed końca godzin popołudniowych  
Już w niedzielę  
pieśń sławiącą niedzielę usłyszałem



### IV.

Doskonała ułomność pytań  
a także odpowiedzi  
oto konsekwencja wielkiego pożytku  
rozmów samego z sobą

### V.

Czy kładłbyś kolor  
w tym samym miejscu jakim co ja?  
czy wskazując na rzecz najmniejszą  
byłbyś w stanie pominąć przedmioty  
cokolwiek większe

### VI.

Jeszcze z prac najpilniejszych  
osuszyć może z wody niebo z powietrza  
ziemię

Julian Tuwim zachował do końca dziwny sentyment do łódzkich ulic. Pięszę „dziwny”, bo przecież każdy z nas wie z całą oczywistością, że ulice łódzkie są szare, brudne, zadytmione i w ogóle „do niczego”.

Szliśmy kiedyś alejami Kościuszkii.

— To są łódzkie sztreki! — gestem pełnym serdecznej tkliwości wskazał ulicę. Bał mówił o niej z dumą, jak by to była co najmniej promenada w Nicei.

Co prawda aleje Kościuszkii miały ładne topole kanadyjskie, zniszczone bezmyślnie w obecnych czasach, ale to jeszcze nie powód, żeby się tak rozczulać.

Z Łodzią łączyła Tuwima dogłębna, serdeczna miłość. Wracal do niej często w rozmowach i w wierszach.

O alejach Kościuszkii wspomnił w grudniu 1939 roku w Paryżu, w wierszu „Gawęda rymowana o ojcu i synu, o dwóch miastach i starej piosence”. Zapowie wtedy: „...Syn do polskiej Łodzi wróci”.

Równie czułą pamięcią otaczał Tuwim ulicę Piotrkowską. Tu — wspomina — były „łódzkie streetpartys”.

Co najmniej dwugodzinne kursowanie od Andrzeja do Cegielnianej. Takich kursów robiło się ze dwadzieścia „a może i sto” — utrzymuje poeta.

„Rojne i gwarne — wspomina Tuwim — były te łódzkie streetpartys. Odchodziło nieustające dawałanie się do panien, frojlajnow i baryszien, śmiechy, chichoty, perskie oczy, głośnie wyrażanie opinii o urodzie przepływających madmuazelek...”

Drugim miejscem spotkań młodzieży był piękny Helenów. Park stanowił modne centrum Łodzi, teren tłumnych niedzielnych wycieczek. Była tu małpka. Gdy się wołało „Janek, dzwoni” — małpka dzwoniła.

Z czasem ośrodek Łodzi przeniósł się w kierunku ulicy Dzielnej, Narutowicza, Piotrkowskiej i Andrzeja — Helenów opustoszał.



W Helenowie znajdowała się zimą ślizgawka i każdy szanujący się towarzysko człowiek na niej bywał. Tłumnie uczęszczała młodzież. Echa tej sławy doszły mnie jeszcze, gdy byłem chłopcem.

Oczywiście, biegał do Helenowa Tuwim. Helenów — to także „łódzkie streetpartys”.

„Nieprzejednany od najmłodszych lat wróg wszelkich sportów — wspomina Tuwim — nie ślizgałem się wprawdzie, ale łąziłem do nagrzananej budy drewnianej, w której zakładało się łyżwy i tam uprawiałem swą szarmancką i sentymentalną donżuanerię”.

A my dziś narzekamy, że młodzież szwenda się i ba-

lagani na „Pietrynie” i w parkach. Tradycja, proszę państwa!

## MIŁOSNA DEPEZA ŚWIATKA



Światopełk Karpiński chodził do gimnazjum zgrupowania kupców przy ul. Narutowicza. W szkole zaczął pisać. W odróżnieniu od nas — pochodził z rodziny zamężnej. Parę złotych pożyczki? — tylko u Światka! Mieszkał przy ul. Narutowicza, zaraz przy P.O.W. —

## GRZEGORZ TIMOFIEJEW

# WSPOMINKI i DOCINKI

dom był dostojny, pelen ładnych wyperfumowanych kobiet (za sprawą ojca), ale zdaje się wylebły. Świątek rósł sam z wierszami. W przyjaźni z nami szukał swojej racji. Chętnie przychodziliśmy do niego na dyskusje i kolacje. Do stołu podawała służąca (ho, ho!). Ojciec — wzięty inżynier czy architekt zawsze się gdzieś spieszył. Odchodził, a z nim niknął szelest pięknych sukni. Świątek zostawał sam (matki nie miał), nie! — byliśmy przecież w pokoju.

Wieczór i chwila tajnych zwierzeń znanych tylko poetom. W „Meteorze” Świątek debiutował wierszami „Śmierć na Mount Evereście” i „Lato”. Wiersz był jak mieszczchański pokój: duszny, tłoczno zastawiony realiami. Karpiński pisał ciężko, jakoś sękatą i twardo. Usposobienie miał chmurne, ponad swój wiek poważne. W tym wyrosniętym chłopcu o twarzy poważnej z wyluplastymi, myślącymi oczyma była jakaś przedwczesna dojrzałość i trochę już zblazowania. Potem się rozpił i stał się cynikiem.

To spod jego pióra wyszedł ten zabójczy czterowiersz (cytuje z pamięci, proszę darować możliwe pomylki):  
Między nami nie wleceć  
nie będzie,  
Mimo pań wdzięku i  
szarmu:  
Pani ode mnie nie weźmie  
pieniędzy,  
A ja nie zwykłem mieć...  
za darmo.

Ale to mimochodem. Chcę przypomnieć inne zabawne

miast wytoczyła Świątkowi proces.

— To była miłosna depeza! — bronił się poeta.

### JAKIEM GO!

W 1916 roku teatr łódzki wystawił „Warszawiankę”. Gdy Józef Piłarski grał generała Chłopcickiego, w garderobie skradziono aktorowi spodnie. Z konieczności Piłarski wyszedł na miasto w generalskich spodniach z lampasami. Oficerowie Niemiec salutowali.

Później w latach niepodległości były i kawały i skandale.

Łódzkie kroniki teatralne notują trzy głośnie wydarzenia.

Znakomity Leon Schiller inscenizował m. in. „Krzyżce Chiny”. Była to prapremiera głośnie sztuki — reportażu pisarza radzieckiego Tretlakowa. Ze sceny przemówił patos rewolucji. Nazajutrz reakcja rozpetala wściekłą nagonkę. Napaści w prasie, zorganizowane bandy chuliganów, wrzask



na całą Polskę — wszystko to szło w parze.

Ale Chiny krzyżały. Tego krzyku bólu i protestu, który rozległ się z łódzkiej sceny, nie już nie mogło stłumić.

Drugie wydarzenie. W r. 1930 teatr wystawia „Cjan-

kali” R. Wolfa, w reż. E. Schillera. Bogoboje koitństwo zerwało się na nogi. „Łódzkie Echo Wieczorne” pisało: „Cjan-kali” wystawił w Niemczech tylko jeden mocno zbolszewizowany teatr, a w Polsce tylko jeden Teatr Miejski w Łodzi. Czy to jest odpowiedni repertuar?... Nie! — wrzasnęły wszystkie dewotki. W teatrze zaczęły się demonstracje z użyciem gazów łzawiących i rozpadaniem widowni.

Dyrektorem był wtedy Adwentowicz. — Co będzie, jeśli demonstranci połamają nam krzesła? — martwili się aktorzy. — Kupimy nowe i będziemy grać „Cjan-kali!” dalej — odparł znakomity aktor.

Później, żeby tradycja w narodzie nie wygasa, na prapremierze „Jegora Bulyczowa” M. Gorkiego (w reżyserii H. Szletyńskiego) obrzucono aktorów zgnilymi jaskkami.

### KAŻDEMU KOTLET

Jarosław Iwaszkiewicz w „Książce moich wspomnień” pisze m. in. o występach „neofuturów” w Warszawie w r. 1920. W pogodny dzień niedzielny Anatol Stern przewiózł Aleksandra Wata taczka na przestrzeni od Belwederu do placu Zam-



kowego; na wieczorze „neofuturów” Stern wystąpił nago, tylko w listku figowym, który spalono na zakończenie programu itp.

Łódź do takich ekstrawagancji nigdy nie miała nabożeństwa. Miasto pochmurne, ciężkiej robotniczej troski, traktowało artystów aż nazbyt serio.

Ale ojciec awangardy krakowskiej Tadeusz Peiper, budził u nas pewne zainteresowanie. W latach międzywojennych przyjechał na wieczerz autorski. U Szymona Gluka, inteligentnego i miłego recenzenta „Republiki” raczył spżyć obiad, po czym przy czarnej kawie tłumaczył współbiedniakom swoje wiersze.

Wieczorem wystąpił w IPS-ie (obecnie Ośrodek Propagandy Sztuki). Przy recytacji: „Kotlet! Każdemu kotlet! Każdemu daję kotlet!” — sala parsnęła śmiechem.

Peiper zachował się wobec tak jawnego barbarzyństwa z wielką godnością. Później powiedział mi:

— Daję słowo honoru, że z całej literatury naszego czasu zostaną tylko moje wiersze.

Oj, jak ryzykowną jest rzeczą dawać słowo honoru w sprawach sztuki! Tylko raz się udało: Lechoń zaręczył, że Maria Pawlikowska ma talent, i wygrał.

A co do kotletu, był już taki i to król, który każdemu przyobiecywał kurę w garnku.

Też nie wyszło.

### VII.

Już od wczoraj  
dwie małe na talerzu  
samotne łyżeczki  
wiodą nie kończący się dialog  
o przeczcuci  
o poznaniu  
o przecinku i kropce  
a wystarczy  
dotknąć jednej z nich palcem  
by rozpoczęły dialog  
bardziej ściszony nieuchwytny i nowy  
o przeczcuci  
o poznaniu  
o przecinku i kropce.



### VIII.

Grają zielone  
i niebieskie na skrzypcach  
niebieskie głośniejsze  
po kamieniach po samym dnie  
Nie ma nawet z czym to równać  
nie ma z nik  
Gra bez ręki  
z pierścieniem na palcu  
bez ręki  
bez nogi  
bez tułowia  
na czymkolwiek byle czym  
tylko z ustami pełnymi  
zaśniedziałej miedzi.





Co jest cechą internacjonalizmu? Czy zupełna obojętność dla spraw narodowych? Nie, to renegektwo! Czy dawanie przewagi sprawom obcym nad własnymi, rodzinnymi? Nie, to kosmopolityzm! A więc co to jest internacjonalizm? To widzenie spraw własnego narodu w kontekście spraw innych narodów, to sprawiedliwa równowaga między sprawami własnymi a cudzymi, to maksymalny obiektywizm w traktowaniu spraw własnego narodu w nierozdzielnym i obowiązującym związku ze sprawami innych narodów. Norwid stawia to zagadnienie nawet w ten sposób: nie można być patriotą, nie będąc internacjonalistą. Aby być narodowym, trzeba być nadnarodowym, to zna-

Żydzi jako wśród so-  
sen cedry  
Celnymi są — ale Niem-  
cowi,  
Wykłada to doktor z kate-  
dry,  
Co zwiędli i Moskale,  
nim się dowie!  
Grek ma więcej świet-  
nych w dziejach kart  
Niż leż w mogile —  
U Polaka tyle Węgrów  
wart,  
Tyle!... co — Termopyle!  
Temu gwoli Chińczyk  
się być mniema  
Za utwierdzonego w środ-  
ku globu:  
I sposobu wyraźnie na to  
nie ma  
I wyraźnie nie ma już spo-  
sobu  
Rozemnać, co prawdą? co  
zwyczajem?  
Pokaż zdania nie będą nie-  
co szersze,  
I przestanę pomiać się  
nawzajem  
Wszystkie ludy —  
nad wszystkie...  
pierwsze!

W niedokończonym arty-  
kule z roku 1870 pt. „Znicest-  
wienie narodu” pisał Nor-  
wid: „Znicestwić żadnego  
narodu nikt nie podoba bez  
współdziałania obywateli  
tegoż narodu, i to nie bez

w dogmat. Bo szowiniz to  
właśnie nie innego, tylko  
swoisty kult dogmatu. Na-  
rody „złote” jak Sparta,  
Egipt, Rzym upadły mimo  
swej potęgi pod ciosami na-  
rodów dzikich, mniej zor-  
ganizowanych i zgola ma-  
łych, ale nie przeżartych  
jeszcze śmiertelną chorobą  
szowinizmu. Oczywiście w  
tej regule, jak w każdej zresz-  
tą, bywały wyjątki w przy-  
padku na przykład starcia z  
sobą dwóch szowinizmów, z  
których jeden pożałał dru-  
giego, ale ich nieuniknione  
„znicestwienie” to tylko  
kwestia różnicy w czasie.

Właściwie pojęty patrio-  
tyzm zgodny jest z interna-  
cjonalizmem i polega na jas-  
nej świadomości, „iż — jak  
pisał Norwid — naród skła-  
da się nie tylko z tego, co  
go wyróżnia od innych, lecz  
i z tego, co z innymi łączy”.  
A dla istotnego interesu na-  
rodu „ta łączalności siła  
nie jest wcale żadnym ustę-  
stwem, a tym mniej uszczer-  
bkiem, ale owszem przymio-  
tem zupełności charakteru i  
własnością dodatnią”.

MARIAN PIECHAL

## POETA INTERNACJONALISTA

czy nie tracić poczucia zwią-  
zku ojczyźnych spraw ze  
sprawami międzynarodowy-  
mi. Czyli internacjonalizm,  
to najtrafniej pojęty patrio-  
tyzm. Patriotyzm bez poczucia  
internacjonalizmu, to  
nacionalizm. Nacionallizm  
skłonny do wywyższania  
własnego narodu nad inne i  
kosztami innych, to szowini-  
zm.

Norwid bardzo wyszydzał  
szowinizm. Wiedział, że szkodzi  
on każdemu narodowi,  
bo zraza do niego inne na-  
rody, ale naprawdę groźny  
jest on dopiero u narodów,  
zajmujących pozycję mocar-  
stwowa. Jest to zgodne z  
tym, co w wiele lat potem  
powiedział na ten sam  
temat Lenin w słynnych  
swoich notatkach „W związku  
z zagadnieniem narodo-  
wości” z dnia 31 grudnia  
1922: „Należy odróżniać na-  
cjonalizm narodu uciskają-  
cego od nacjonalizmu narodu  
uciskanego, nacjonalizm  
narodu wielkiego od nacjo-  
nalizmu narodu małego”.  
Dlatego w wierszu o pogar-  
dliwym tytule „Vanitas”  
zwraca się Norwid nie tylko  
do dawnej królewskiej  
Rzeczypospolitej, chorującej  
na szowinizm, ale przede  
wszystkim do współczesnych  
sobie potęg mocarstwowych,  
tak bardzo obojętnych na los  
narodów słabszych, im pod-  
ległych, a więc także i na  
los pozbawionej suwerenności  
Polski:

Francuzom — minister  
oświecenia —  
Ze są najmędrsi, co rok  
głosi,  
Anglik nie mniej sam  
się ocenia,  
Choć Włoch porówna-  
nia nie znosi!

współdziałania przypadko-  
wego, częściowego, nominal-  
nego, ale bez współdziałania  
starannego”. A tym  
„starannym współdziałaniem”  
w „znicestwieniu na-  
rodu” jest właśnie nacjona-  
lizm, jest właśnie zakocha-  
nie się narodu w samym so-  
bie, aż do pogardy i lekce-  
ważenia innych, jest narcy-  
zowatość narodu zwyrodnia-  
ła aż w szowinizm czyli —  
jak to nazywa Norwid — w  
„nieoświecony konserwa-  
tyzm”. Bo „oświecony konser-  
watyzm podejmuje z  
przeszłości tradycyjnej to  
poglądnie, co postępowym  
lub nasiennym w ziarno po-  
stępowe leżało w historii, i  
sposobem tym legalizuje i  
miarkuje pochod napróżd, a  
otacza szacunkiem źródła w  
przeszłości. Gdy tymczasem  
nieoświecony konser-  
watyzm, nie roz-  
trząsając co poglądnie z  
przeszłości cenić, całą nara-  
ża na pogardę”.

Polska straciła niepodleg-  
łość, upadłszy wpród mo-  
ralnie wskutek owego „nie-  
oświeconego konserwaty-  
zmu”, czyli po prostu szowi-  
nizmu. To samo przepowia-  
dał Norwid z kolei ówczes-  
nej Rosji, Niemcom i Au-  
strii. Czy się to sprawdziło?  
Aż nadto! Bowiem „żaden  
najdoskonalszy zatriaciel  
obmierzić narodowi nie po-  
trafi własnych tradycji je-  
go, jak to nieoświeco-  
ny zdoła konserwa-  
tyzm”, gdyż „ażby cokol-  
wiek z gruntu obalić — naj-  
lepiej bywa zamienić do-  
pierwej w nie usprawiedli-  
wioną niczym religię”. Czyli

Czy Norwid postawę taką  
głosił tylko w rozprawkach fi-  
lozoficznych, esejach i list-  
tach? Także i przede wszyst-  
kim w swojej twórczości ar-  
tystycznej. Nawet w krót-  
kich utworach lirycznych,  
czego dowodem przytoczony  
powyżej. Był więc pierw-  
szym w literaturze polskiej  
w znaczeniu nowoczesnym  
świadomy swego postawy  
poeta internacjonalista. Czy  
mu w tym pomagał wyzna-  
wany przez niego uniwersa-  
lizm katolicki? Owszem, tak.  
Wydaje mi się nawet, że nie  
znając zupełnie rodzącego  
się dopiero socjalizmu nau-  
kowego, tylko utopiiny, wia-  
śnie w opozycji do niego ten  
uniwersalizm katolicki do-  
pomógł Norwidowi w wy-  
pracowaniu sobie takiej  
właśnie postawy internacjo-  
nalistycznej.

Ale co innego głosić in-  
ternacjonalizm w swoich  
dziełach, a co innego inter-  
nacionalizm samych tych  
dzieł jako form sztuki. Dzie-  
ła Chopina i niektóre Sien-  
kiewicza, a nawet Reymon-  
ta mimo że nie głoszą idei  
internacjonalistycznych, są  
internacjonalistyczne z racji  
swej formy. Z Norwidem jest  
sprawa bardziej zawiślana,  
większa sprzeczność między  
duchem i literą jego dzieła  
nie pozwala mu wyjść z za-  
kłętego kręgu podwórka na-  
rodowego. I na tym polega  
jego tragizm. Ale ten pro-  
blem, nie poruszony dotych-  
czas przez żadnego z norwi-  
dologów, problem rozwiązu-  
jący antynomie między ak-  
tualnością dzieł Norwida a  
ich uprzywilejowaną niepopu-  
larnością, wymaga osobnej roz-  
prawy.

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

# D 34 czyli wyznania felietonisty

Wyznanie  
pierwsze

Nie jestem recenzentem,  
ni krytykiem, ni fachowcem,  
znawcą sztuki teatralnej. To  
już przecież siedemnasty nu-  
mer „Odgłosów” i któryś  
tam z rzędu moich teatral-  
nych felietonów (a który,  
nie wiem, nie liczę ich, nie-  
słoty). Wypada więc już  
wreszcie przyznać się do  
wszystkiego. Wypada tym  
bardziej, że sezon teatralny  
dobięga końca i przynaj-  
mniej na okres miesiąca lub  
dwóch pożegnać się będę  
musiał z krzesłem na widow-  
ni, i z Czytelnikiem miłym  
a nieznanym, i z Redaktorem  
Naczelnym. I wycofam się, i  
odejdę, i odjadę — gdzieś,  
gdzie nie słycać hałasów  
miasta, okłasków i monolo-  
gów prowincjonalnego Ham-  
leta (Hamletów) i kłótni re-  
cenzentów. Sezon się kon-  
czy, złóżmy niezbędne wy-  
znania. Przyznaję się do  
wszystkiego. Przyznaję się,  
nie bez pewnego zażenowa-  
nia, i nie bez pewnej du-  
my:

Nie znam się na te-  
atrze.

Nie wiem, dlaczego na wi-  
dok dekoracji, zbudowanych  
przez pana X, z trudem po-  
wstrzymuję uśmiech polito-  
wania. Nie wiem, dlaczego  
nie znoszę głosu pani Z, i  
dlaczego podobają mi się  
nogi pani Y. Nie wiem, dla-  
czego gest sceniczny pana  
A, czyni za mnie człowieka  
szczęśliwego, gdy podobny  
gest pana B, odbieram z  
twarzą obojętną. Nie wiem.  
Nie znam się na teatrze.

Nie potrafię przedłożyć ni-  
komu dowodów prawdy, ar-  
gumentów jedynie nauko-  
wych, stwierdzających nie-  
zbiście, że jeden spektakl był  
lepszy, a drugi dużo gorzy.  
Nie potrafię i nie chcę. Bo  
gdybym chociaż chciał, gdy-  
by mi się chciało chcieć, to  
może i potrafiłbym. Potrafił-  
bym tak jak inni, którzy pi-  
szą o teatrze, no i jakieś tam  
dowody prawdy na potwier-  
dzenie swych tez znajdują.  
Bo szukają. Bo chcą. A ja nie  
chcę. Chcę natomiast pisać fe-  
lietony, niefachowe felieto-  
ny, takie, jakie chce drukow-  
ać Redaktor Naczelny. Coś  
mi się w teatrze podoba, a  
coś mi się nie podoba. A  
dlaczego coś mi się podoba?  
A dlaczego coś mi się nie po-  
doba? Dlaczego zżymam się  
i mrużę z niechęcią pod no-  
sem? Dlaczego biję brawa?  
Ba, żebym to wiedział!



Wyznanie  
drugie

Nie wiem, dlaczego nie po-  
dobają mi się pomysły insec-  
nizacyjne pana Y, a podobają  
mi się pomysły pana X.



Nie wiem też, jak należy  
wyreżyserować i zagrać,  
dajmy na to, „Balladynę”,  
lub „Sen nocy letniej”. Wiem  
natomiast, jaką „Sen nocy  
letniej” i jaką „Balladynę”  
chciałbym zobaczyć. Jestem  
więc w posiadaniu metrum,  
czyli wizji doskonałej (nie  
zdradzę jej nikomu, bo na  
nie się nikomu nie przyda,  
jest tylko moja, mnie po-  
trzebna, zmieniająca się ze  
mną), czyli gustu. Dlatego  
piszę o teatrze.



Wyznanie  
trzecie

Nie podobał mi się czeski  
teatr D 34. I dlatego właśnie  
zdecydowałem się złożyć dwa  
powyższe wyznania. Żeby  
nikt nie pomyślał, że repre-  
zentuję czyjeś poglądy,  
przedstawiam czyjeś racje i  
argumenty. Na przykład Re-  
daktora Naczelnego, albo wi-  
dzą, albo młodego i zapa-  
łonego wielbiciela teatru, z  
którym rozmawiałem przed  
kilkoma dniami, a którego spe-  
ktakl „Szczurolapa” oczarow-  
wał. Wszystkim (prawie  
wszystkim) ten teatr bardzo  
się podobał. Na widowni  
rozlegały się brawa. W cza-  
sie spektaklu i po spekta-  
klu. Teatr 34 dyskutowano.  
O Teatrze 34 będzie się mó-  
wić. Będzie się tę wizytę  
wspominać tak, jak po dziesięć  
dniów wspomina się wizytę  
Erechta czy Vilara. Długo-  
trwałe brawa nie mogą zo-  
stać wytłumaczone powie-  
dzeniem o polskiej gościn-  
ności.

Burlan dotknął jakichś  
strun i w psychice i w od-  
czuciach naszej widowni,  
które, być może, dotychczas  
nie były u nas dotykane. I to  
dotknął umiejętnie, ponie-  
waż jest to artysta wytraw-  
ny, znający wiele strun, wie-  
dzący, które z nich wydają  
ton najwyższy.

Burlan obudził sentymen-  
ty. Wyzwolił tęsknotę, mar-  
zenie o patosie. I marzenie  
o secesji. Ja w tym nie gu-  
stuję. I dlatego nie podobał  
mi się Teatr 34. Nie lubię pa-  
tozu. Nie gustuję w sztuce,  
która chce przemówić do od-  
biorcy za wszelką cenę, na-

wet za cenę rezygnacji z  
przemilczenia.

Wydaje mi się, że przy-  
szłość teatru ludowego (czy-  
li: teatru socjalistycznego)  
leży raczej w dążeniu do  
dyscypliny, niż rezygnacji z  
dyscypliny. I że lepiej uczyć  
się od Greków, niż od wesol-  
ków jarmarcznych (a może  
po prostu nie rozumiem, nie  
czuję sztuki przedmieść,  
sztuki odpustowej?).

Nie gustuję wreszcie w za-  
sypanych pyłem nowoczes-  
nościach sprzed lat dwudzie-  
stu pięciu czy trzydziestu i  
w przedziwnym skrzyżowa-  
niu naturalizmu z filmowy-  
mi trickami i umowną sce-  
nografią, recepturą Brechta  
(„teatr w teatrze”) z recep-  
turą Stanisławskiego. Albo  
się mruga okiem do widza,  
albo się mu świecić każe  
wierzyć, że widzi na scenie  
„kawał” życia. Albo się wi-  
dza umoralnia, albo się z wi-  
dza kpi. Tutaj — ja tak u-  
ważam — nie może być zło-  
tego środka. To już wolę  
inną krzyżówkę: naturalizm  
z Freudem; rezultaty są  
dużo ciekawsze.

A dlaczego nie lubię pato-  
su? Dlaczego lubię sztukę  
zdyscyplinowaną, chłodną,  
precyzyjną? Dlaczego ponad  
wzruszenie serca przedkła-  
dam poruszenie intelektu? A  
ponad sztukę, niosącą nam  
w darze nową moralność,  
sztukę niosącą nowe  
szczęście? Nie wiem. Nie po-  
trafię dowiedzieć, że teatr, któ-  
ry nas odwieździł, apelował  
do złych gustów. Wiem, że  
nie udało mu się zaapelo-  
wać do gustu mojego, prywat-  
nego, przed chwilą wy-  
znanego.

Nie dyskutujemy, nie oce-  
niajmy gustów. Przedsta-  
wiamy je. I zmieniamy. Ja  
swoją przedstawiłem.

WŁODZIMIERZ  
KRYSIŃSKI

## O „Winie półśłodkim” Jerzego Waleńczyka

Wzrost i nagrody na fe-  
stiwale młodej poezji w  
Poznaniu (1957) Jerzy Wa-  
leńczyk debiutował na la-  
mach „Wsi” w roku 1949.  
Wydaje mi się, że „Wino  
półśłodkie” — debiut książ-  
kowy młodego poety łódz-  
kiego, stanowi interesujące  
uzupełnienie tendencji mło-  
dej poezji polskiej. Cechą  
wyróżniającą Waleńczyka w  
stosunku do innych młodych  
poetów polskich są jego  
związki ze współczesną po-  
ezją anglo-amerykańską. O-  
wa tendencja pozwala mu  
przecież na zachowanie wła-  
snej twarzy — powiemy  
to sobie — utrzymując wszy-  
stkie proporcje — polskiej.  
Zdaje się on dobrze roz-  
umieć stwierdzenie, że przede  
wszystkim forma, przede  
wszystkim wyraz stwarza  
poetę. Gdyby miał określić  
tendencję główną tej poezji,  
jej inspirację zasadniczą, od-  
wołalibyśmy się do sformu-  
łowania: terror codzienności.

Waleńczyk jest poetą bez  
złudzeń, poetą którego roz-  
czarowanie do świata otacza-  
jącego przemienia się w pew-  
ność absolutną, w przeświad-  
czenie, że mit arkadyjski lu-  
dzkości musi, niestety, pozos-  
tać mitem. Mimo drwiny i



IX.

Gdy już stało się ucho  
Planetą wszelkich dźwięków  
wzrok rozsypałem liśćmi  
z przyzwyczajenia z oszczędności  
do nóg przywiązałem latawiec  
by w koło  
zabawiał  
kiedy mało  
wieszam kogo chcę  
Aż przyjdzie jesień  
ucho stanie się uchem  
rozsypane zgrnę liście  
zdmuchnę słońce  
pójdę spać

X.

Dostrzeżony przez siebie  
własnym sądom nieufny  
jaką wiedzę mam o sobie  
własnym sądom nieufny  
mogę zawierzyć istotom  
przeze mnie dostrzeżonym



XI.

Nie mogą dwie rzeczy powstać równocześnie  
przykład usta i uszy  
Nie mogą dwie rzeczy powstać jedna po drugiej  
przykład usta i uszy

XII.

W tej części nocy  
schody z barw leniwych szarych  
Promienie biegną na skos  
do mielizn i mgławic  
Drogą chodzą smutne pająki  
(Kto im trepy poprzywieszał do łap)  
Drogą ktoś na pewno chodzi  
a może nie ma drogi  
i nie pomogą święci żadnego z bogów  
i zamilkną znużeni prorocy

XIII.

Co dzień przyniosł?  
— a nie.  
Co noc przyniosła?  
— a nie.

# ANATOL KOVARSKY

albo

Trzeci starożytny

Najostrzejsze  
OLÓWKI  
ŚWIATA

## i Bliski Wschód na wesoło

Jego rysunki da się bez trudu poznać wśród innych: Jeżeli zobaczycie kiedyś żart o latającym dywanie, to istnieje co najmniej połowa szans, że będzie to żart Anatola Kovarskiego. Uporczywie, ciągle na nowo, przetwarza Kovarski ten sam temat: Bliski Wschód.

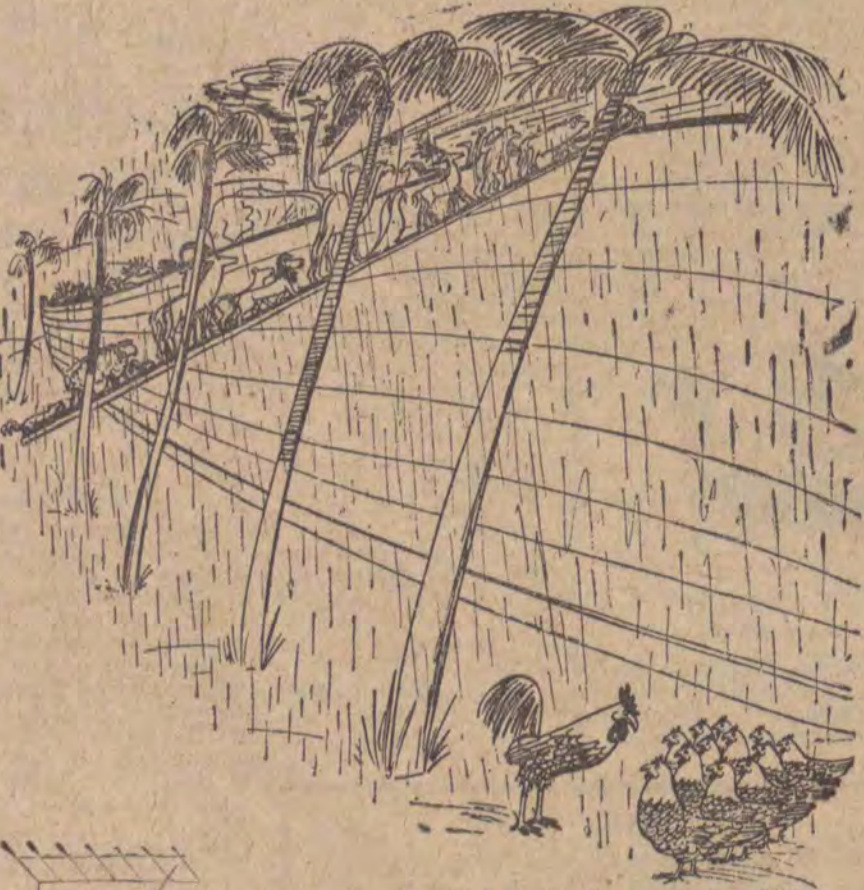
Zna go chyba zresztą nieźle, lata wojny spędził w oddziałach amerykańskich w rejonie Morza Śródziemnego. Kariera przebiegała mu podobnie do kariery genialnego Steinberga (przedstawia go za kilka tygodni w „Odgłosach”). Kovarski, będąc w wojsku, zaczął nadsyłać do pism USA i Anglii interesujące reportaże rysunkowe, które przyniosły mu sporą popularność. Po wojnie — też jak Steinberg — rozpoczął stałą współpracę z „New Yorkerem”. Demonstruje w tym tygodniku 3 duże cykle: o rzeźbiarzach i malarzach, o Bliskim Wschodzie oraz o starożytności.

Bliski Wschód najbardziej fascynuje Kovarskiego, stale wraca w jego rysunkach temat latających dywanów, haremów, meczetów, legend z 1001 nocy. Przeważnie pozostaje to jednak tylko rekwizytem lub scenerią, Kovarski jedynie rozgrywa w



niej swe dowcipy, zawsze absurdalne. Zrozumieć to można łatwiej, znając inny cykl żartów, osadzonych w dość szeroko rozumianej starożytności (nawet tej biblijnej). Tu znów relikty antyczne są temem dla całkiem współczesnych żartów.

Tu gdzieś tkwi tajemnica oryginalności i uroku obrazów Kovarskiego: nowocześniejszy humor w świetle dalekim naszej współczesności. J. W. P.S. Dla wygody korektora piszę nazwisko „Kovarsky” w polskiej transkrypcji. Amerykański rysownik jest zresztą z pochodzenia Polakiem.



Za tydzień:

### GÜNTER CANZLER

albo

opowieści

o

przedmiotach



GOLONO — STRZYŻONO \* GOLONO — STRZYŻONO

### Odpowiedź

Dyrektor słynnego obserwatorium astronomicznego w Harvard, Harlow Shapely, został niedawno zapytany, jakie znaczenie miałoby wystrzelenie człowieka na Księżyc. Harlow Shapely odpowiedział: „Liczba obłąkanych na Ziemi zmniejszy się o jednego”.

niej wyjść, czy też znajdowała się na zewnątrz i próbowała wejść do sukni”.

### Dla zazdrosnych

Szwajcarski clown Dan Ewera powiedział: „Jeśli kobiecie trzeba pilnować, znaczy to, iż nie jest warta, by ją pilnowano”. Może to stanowić dobrą radę dla zazdrosnych mężów.

### Solidarność

Sekretarz generalny brytyjskiego związku zawodowego transportowców, Frank Cousin, był jedynym człowiekiem, który odmówił robotnikom podwyższenia ich do pracy w czasie strajku autobusów w Londynie.

### Sposób

Królowa brytyjska Elżbieta zdecydowała się zaprzestać pozowania malarzom do portretów. W związku z tym muszą się oni zadowolić w Buckingham portretowaniem lalki naturalnej wielkości, imitującej królową.

### Telewizja

Jak się dowiadujemy, telewizja moskiewska wprowadziła ostatnio pewne nowum: naukę tańca towarzyskiego. Pierwsze lekcje obejmują tańce klasyczne, następnie zaś tańce argentyńskie i współczesne.

### Reklama

Wielki dom towarowy w Nowym Jorku reklamuje sztucznie damskie biodra z piastkami: „Przy pomocy naszych bioder zapędzisz w kozi róg Marilyn Monroe razem z jej sercem”.

### Nowy etap

Ex-król Faruk, odwieździwszy niedawno Monaco, wpisał się następująco do hotelowej książki gości: „Faruk, król Egiptu, Syrii i Jemenu”. Widząc, że portierzy są nieco zdziwieni, osłabłymi: „Cóż to, nie czytacie gazet? Moje królestwo powiększa się”. Faruk miał oczywiście na myśli powstanie Zjednoczonej Republiki Arabskiej.

### Rozczarowany

Policia w Meridian (Missouri, USA) aresztowała 32-letniego kupca Roberta Goodmana, podejrzewając go o bigamię. Zwrócono bowiem uwagę, że dwukrotnie, dzień po dniu, Goodman przeprowadził w miejscowym sądzie rozwody z dwiema kobietami.

### Postęp techniczny

Podczas wystawy wynalazków w Paryżu, tzw. Concours Lépine, pokazano w tym roku parasole z oświetleniem, ogrzewane sedesy oraz szczoteczki do zębów z napędem elektrycznym.

### Wyrok

Pewien student uniwersytetu w Oxfordzie został skazany na jeden dzień więzienia, ponieważ kłócił się nocy przemawiając długo i głośno do pomnika królowej Wiktorii. Przewodniczący sądu, stwierdzając, iż nie było to zakłócenie spokoju publicznego, uzasadnił wyrok w następujący sposób: „Nie jest godne dżentelmena zaczepiać kobietę na ulicy, zwłaszcza zaś wówczas, kiedy nie może się ona ani bronić, ani odejść”.

### Trzy części

Jeden z dowcipów Jean Renoira: „Męczycyna dzieli się na trzy części: jest kolejno niewolnikiem swej matki, potem żony, a wreszcie córki”.



### Mecz na wysokim szczeblu

Prezydent Eisenhower, znany w całym świecie jako zapalony miłośnik gry w golfa, uprawia ostatnio ten sport ze szczególną intensywnością. Prezydent ma zamiar rozegrać w niedalekiej przyszłości rozstrzygający mecz z premierem brytyjskim Macmillanem.

### Alergia

Mildred Francis, kasjerka bankowa z Dallas (USA), została na podstawie zaświadczenia, lekarskiego przeniesiona do innej pracy. Lekarz bowiem stwierdził, że ustawiczne dolegliwości, na które cierpiła pani Francis, powstawały u niej wskutek alergii wywołanej widokiem pieniędzy.

### Przyzwyczajenie

Niejąka Lilian Fetcher, lat 17, zrezygnowała z pracy w sklepie perfumeryjnym w Londynie i powróciła na wieś do swego ojca, gdzie obecnie zajmuje się wraz z nim hodowlą trzody chlewnej. Fetcher powiedziała znajomym, że w sklepie nie mogła dłużej wytrzymać ze względu na nieznośną dla niej woń perfum.



### Ze świata aktorów

Hollywoodzki gwiazdor, Lex Barker, wystąpił do sądu ze skargą o zniesławienie, skierowaną przeciwko Lollobrigidzie za to, że nazwała go, ze względu na grane przez Barkera role Tarzana, „zdeklasowanym mimikiem” i odmówiła wystąpienia z nim we wspólnym filmie.

### Prezent

Ostatnio prezydent Zjednoczonej Republiki Arabskiej Nasser, przesłał prezydentowi Tito, jako dowód przyjaźni dla narodu jugosłowiańskiego, dwa jednogarbne wielbłądy dla belgradzkiego ZOO.

### Stuletni dowcip

Pani Thyrza Beker z Morrison w Colorado (USA) ukończyła niedawno 100 lat. Pewien dziennikarz zadał jej w związku z tym pytanie: „Proszę pani, jaka jest recepta na to, by dożyć stu lat?” Dowcipna stulatka odpowiedziała: „Wystarczy nie umierać wcześniej”.

### Nowości

Pewna firma paryska, produkująca artykuły higieniczne, wydała prospekt, w którym informuje klientów, iż na żądanie dostarcza pachnidło do wody używanej w toalecie. Firma rozprządza na razie następującymi zapachami: „Premier amour” („Pierwsza miłość”), „Agreable aurprise” („Miła niespodzianka”) oraz „Danngeroouse aventure” („Niebezpieczna przygoda”).

### Zagadka

Znakomity komik francuski Fernandel, opowiadając niedawno o Brigitte Bardot, powiedział: „Spotkałem ją przedwczoraj wieczorem u „Maxima”. Była ubrana tak, iż trudno było pojąć, czy to ona była w sukni i chciała z

### Przesada

W „Pollaio”, piśmie włoskich hodowców drobiu, znajdujemy następujący opis wizyty na kurzej farmie: „Przy wejściu na farmę... 25 kur zniosło na nasze powitanie, jak gąbki na komendę, każda po jednym jajku. Była to jakby salwa dobrze wyszkolonej baterii przeciwlotniczej”.

### Zaproszenie

Straż parkowa w miejscowości Parkstone (USA) rozstała z okazji balu wiosennego następujące zaproszenia: „Przyjdźcie do nas na tańce, my przyjdziemy do was na pożar”.

### Studenci

Na uniwersytecie Fayetteville (USA) zawieszono egzamin z matematyki dla 200 studentów, uszkodzili oni bowiem egzaminujący ich mózgi elektronicznie, wsuwając do specjalnego otworu, zamiast rozwiązań, opakowania od cukierków i papierosów.

### Replika

Syn jednego z przemysłowców paryskich, znany z niemoralnego trybu życia lekkoduch, zwrócił się pewnego wieczoru podczas ostatniego festiwalu w Cannes do aktorki Sandry Milo: „Poznalibyśmy się z pewnością lepiej — powiedział Francuz — gdybyśmy spotkali się częściej”. „Nie wątpię — odrzekła Sandra Milo — ale czy myślisz pan, że gdybyśmy poznali się lepiej, spotkalibyśmy się jeszcze?”

GOLONO — STRZYŻONO \* GOLONO — STRZYŻONO

odgłosy str. 8



# aspazja

ILUSTR. JÓZEF GRATKOWSKI

— 37 —



### STRESZCZENIE

Na Marsa wyruszyła z Ziemi „Gloria”, rakietą międzyplanetarna. Uczestnicy wyprawy odnaleźli na satelicie Marsa, D-imosie, grobowce zmumifikowanych pszczoł. Czyżby mieszkańcami Marsa były pszczoły? Nagle wyprawa z Ziemi zostaje zdradziecko zaatakowana przez pociski Marsjan. Wywołuje się walka, Marsjanom nie udaje się zniszczyć „Glorii”, która krąży wciąż nad Marsem.

Zbliżała się godzina 22. Była to pora audycji. Wszyscy byli zmęczeni, rozbitci, podnieceni, wszyscy chcieli być bliżej matki Ziemi.

Cała załoga zebrała się w mojej kabine nadawczo-odbiorczej, nazywanej „radiostacją”. Po salce klubowej było to drugie co do wielkości pomieszczenie. Znajdowała się tutaj nie tylko aparatura, pulpit rozdzielczy, ekrany i fortepian, ale również wygodne, głębokie fotele i tapczany. Ściany ze względów akustycznych były obite tkaniną będącą połączeniem czystego jedwabiu z plastikiem, podłogę zaścilał gruby, perski dywan.

Włączyłem prąd. Zapłonęły na tablicy czerwone, zielone i niebieskie lampki. Poruszały się wskaźniki przyrządów mierniczych i kontrolnych.

Nacisnąłem odpowiednio guziki.  
— Uwaga, towarzysze, nadam komunikat. Uwaga, zaraz nadam ważny komunikat. Za kilka minut nadejdzie odpowiedź.

— Halo... Ziemia!... Halo, Ziemia!... Tu Mars!... „Gloria XIX”!... Planeta Mars!... Planeta Mars... Proszę odbierać... Nadaje Bylina... Lech Bylina z „Glorii

— 38 —



XIX... Proszę odbierać... Czy to ty, Iza?... Czy to Iza?...

Nawiązanie łączności trwało około 10 minut.

Czekałem na znany sygnał. Nic jednak nie było słychać. Tylko trzaski, gwizdy i szmery. Uruchamiam eliminator. Brzmienie czystsze, ale sygnału nie ma.

Poczułem na czole krople potu. Co to jest? Gorączkowo przestawiałem skale i zakresy. Na ostrych końcach anten, znajdujących się przed oknem kabiny, pojawiały się świetliste smugi energii. Zawisały na ostrzu jak błędne ogniki, odrywały się i zapadały w mrok kosmiczny. Drżały mi ręce i ugiwały się pod mną nogi. Działanie wszystkich aparatów ujawniały zegary kontrolne. Wszystko było w porządku. Uruchamiam po kolei wszystkie obwody, włączam w sieć wszystkie wzmacniacze, dodaję baterie tranzystorowe, łączę z obwodem zapasowe potężne nadawcze lampy magnetrone, które wytwarzają ultraszybkie impulsy elektryczne. Jestem u szczytu siły nadawczo-odbiorczej.

Cisza! Nie! Coś się dzieje. Trzaski, szumy, gwizdy, wycie. Tak wyją zle duchy Kosmosu.

— To Marsjanie zerwali nam łączność! — wołam — To ich sprawa!...

Spoglądamy na siebie bezradnie.

Kłęcz, nastawiam, wysyłam najdrobniejsze, ultrakrótkie fale. Wtem szmery powoli cichną, błyski gaśną, zaczyna się charakterystyczne dudnienie.

— Hura! — krzyczę uradowany. — Uwaga! Łączność powraca. Zdaje się, że zaraz odezwie się Ziemia!

Istotnie, coś zaczyna się zarysowywać na ekranie. Jakieś dwie ciemne, duże, podługne plamy.

Mam połączony dźwięk z obrazem. Operuję manetką

— 39 —



foniczną. Dudnienie ustaje powoli i wśród tego zamierającego dźwięku przebiega się jednostajny, cienki prosty dźwięk c, jakby wygrywany przez piszczałkę organową.

Reguluję ostrość, dźwięk staje się czystszy. Jednocześnie plamy na ekranie poczynają gęstnieć, pojawiają się barwy złociste i srebrne o tężowym odcieniu. Skądś, z jakiejś pustej przestrzeni, ze złotych dymów czy zwojów zaczynają wylaniać się kształty.

Nie ulega wątpliwości. Są to dwie wielkie, złociste pszczoły o skrzydłach przezroczystych, srebrzystobłękitnych, w tej chwili złożone i lekko drżących.

Siedzą na poduszkach czy miękkich pufach, pokrytych złotą materią. Tło za nimi jest różowawe, ale nie jest to kolor stały. Zmienia się ciągle, przybiera różne odcienie.

To są marsjańskie pszczoły! Mają po dziesięć łap (a nie sześć, jak nasze ziemskie). Łapy te zakończone są czymś w rodzaju palców bardzo ruchliwych, giętkich, mogących się powiększać i zmniejszać. Są one w ciągłym ruchu.

Głowy mają duże, oczy ogromne, złotawe; długie ruchliwe czułki na czole pod oczami; wyraźnie zarysowany otwór gębowy i ryjek do spijania nektaru. Szczęki ich ciągle ścisną się, jakby coś żuły.

W górnych przednich łapach trzymają jakieś ciemne, cienkie, podługne i lśniące instrumenty, może nieco podobne do naszych fletów — grają na nich. Chwilami podnoszą je do góry, ale przeważnie trzymają na bruchu i przebiegają po nich palcami. Ich skrzydła falują to mocniej, to słabiej.

(d. c. n.)

## O „Winie półśłodkim”

(Dokończenie ze str. 7)

ironii w pewnych jego wierszach wyczuwa się prawie tragiczny akcent osamotnienia, wyobcowania.

Jest to poezja pesymistyczna, ale pesymizmem nie założonym z góry i upozywającym, tylko wynikającym z przeżycia i doświadczenia. Jest to poezja czasem nieśmiało buntująca się, czasem drwiąca, ale prawie zawsze pisana w smutnej scenerii pustych pól, mgły, okrutnego wieczoru wielkiego miasta. Waleńczyk anektuje przedmieście z gołębnikiem i rynsztokiem, biednym krajobrazem lichych robotniczych uliczek.

Jesień jest tą porą roku, która sprzyja smutnym refleksjom i realizacji wizji samotniczych. Dlatego tę porę roku Waleńczyk eksplloatuje w „Winie półśłodkim” najczęściej.

Poeta obraca się wokół kilku zasadniczych treści w grupie wierszy czytelnich i stosunkowo przejrzystych: dezintegracja seksualna (Zboczeniec), reminiscencje młodości — kompleksy rodzinne (Nad albumem rodzinnym. Powrót ojca. Kwiecień, Liść), ciążenie ku tematowi politycznym (Na powrót Polaków z ZSRR. Do młodzieńca, świetny żart poetki Bożi krówka. Polacy 1957), ciekawe postawienie problemu relatywizmu etycznego (Normy). Zaznaczyć wypada przy tym, że Waleńczyk jest poetą z mocną tendencją filozoficzną, tendencją do uogólnień ponadczasowych.

Do najlepszych osiągnięć temu należą wiersze, w których poeta potrafił podporządkować formalnie rygor i właściwości wiersza niesklamannemu przeżyciu, ale też i te, w których dochodzi do głosu jego znaczna sprawność warsztatowa.

Poeta umieścił w swym dosyć obszernym tomie także i pewną sumę wierszy zapewne młodzieńczych, chronologicznie najpiękniejszych w jego dorobku. Są to utwory bardzo słabe. Znać w nich pewną nieporadność warsztatu, dalekie podziwki. Czechowicza skrzyżowanego z Przybyszem. Wiersze te charakteryzują się tendencją do metafory starannej i przemysłanej, czasem dość efektownej. Skrót poetycki jest w nich silnie reprezentowany. Obrazy noszą charakter dynamiczny. Mimo takich czy innych nieporadności, nieszczyśliwych potknięć poety, wydaje mi się, że zamieszczenie tych wierszy w tomie debiutowym jest zamysłem szczęśliwym. Dają one świadectwo możliwości i tendencjom poetyckim Waleńczyka. Jego ewolucja biegnie od liryki skrótu, rejestrującej spostrzeżenia zewnętrzne w kierunku liryki refleksyjnej. Oczywiście linia rozwoju nie nosi tutaj charakteru absolutnie prostego.

Waleńczyk jest poetą piszącym swoją biografie. W tej obsesji tematycznej najsilniej daje znać o sobie kompleks środowiska. Realia klasowe, rzetelna ob-

serwacja szczegółów zyskują często godną uwagi formę syntetyczną. W tej warstwie tematycznej poeta powtarza jednak pewne schematy myślowe, albo mówiąc inaczej redukuje treści poznawcze. Gdzie tkwią niebezpieczeństwa tej poezji? Przede wszystkim w zbytnej zależności od wzorów obcych, następnie w rozmiłowaniu się w obrazach, które poeta mnoży nie zawsze respektując ich funkcjonalność. Ta cecha prowadzić może do wielosłowa.

Powiedziałem, że „Wino półśłodkie” jest tomem nierównym. Zapewne. Ale miarą rangi poetyckiej są zwykle najwyższe osiągnięcia poety. Takich osiągnięć nie brak przecież w tomie Waleńczyka. Cokolwiek byśmy o nim powiedzieli, jedno uważam za rzecz pewną i stwierdzalną. Jest to twórca o znacznym poczuciu warsztatu i konwencji poetyckich — o dużej skali możliwości. Obok wierszy wolnych prezentuje wiersz stroficzny, obok refleksji wyrażonej w smutnej tonacji, znajduje się miejsce i dla tonacji persyflazowej. Jego rozrachunek ze światem staje się wtedy poezją dobrej próby. Jeśli zawodzi, to dzieje się to przecież kosztem eksperymentu, a do niego jak wiadomo mają prawo poeci. Debiut łódzkiego poety uważam za cenny i nowy element w obrazie młodej poezji polskiej. Jest to debiut pełnych realizacji i ciekawych zapowiedzi, ale debiut poety z prawdziwego zdarzenia, poety śmiałego, nie bojącego się stanąć z własnymi obsesjami i bólem przed Czytelnikiem.

W. KRYSIŃSKI

### Poziomo:

6. Budynek przeznaczony do badań astronomicznych, 9. Miejsce pochodzenia sławnego posagu Wener, 10. Pewnego typu urząd kontrolny lub świadectwo szkolne, 11. Ciężka praca, mógł, 12. Sprawa trudna do rozwiązania, 15. Nożyk chirurgiczny, 17. Miejsce rozchodzenia się rzek w różnych kierunkach, 18. Figura geometryczna mająca ponad cztery boki, 19. Mieszkanie dla młodzieży przy uczelni, 21. Np. Jarosław Iwaszkiewicz, 23. Podobizna, wizerunek, 24. Może być szkolna, podróznicza itp, 25. Pierwszy miłosny... bywa miłą pamiątką, 27. Odmiana klawikordu, 28. Skandynawskie imię męskie, 29. Antyrealistyczny kierunek w literaturze i sztuce, ukazujący rzeczywistość jako przeżycia twórcy.

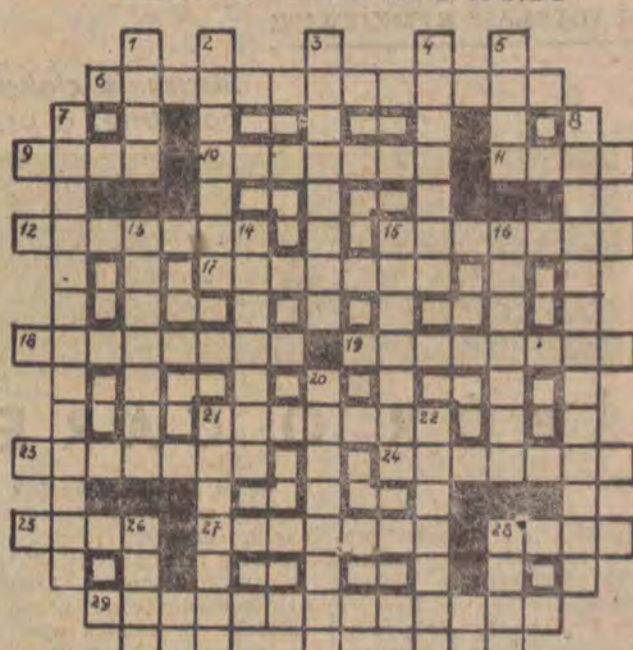
### Pionowo:

1. Rzeka w Hiszpanii, 2. Wyuczony pomocnik lekarza, 3. Członek organizacji reakcyjnej, wprowadzonej w 1922 roku we Włoszech, 4. Kromka chleba suszona w piecu, a także rodzaj wódki na gorąco, 5. Cześć, uwielbienie, 7. Nauka zajmująca się badaniami drobnoustrojów, 8. Imię

## ENTLIČKI-PETLIČKI-ENTLIČKI-PETLIČKI

— Gdyby Sagan urodziła się w Polsce, zmieniłaby nazwisko, reklamując zbył rażąco przemysł gastronomiczny.  
— Wódkę sprzedają z dokładnością grama, zapalke pocierają kilkakrotnie, samochody zakupuja z oszczędnością, cegłę sprzedają nawet na sztuki — czyż mo-

## NASZA KRZYŻÓWKA



i nazwisko zdolnej aktorki młodego pokolenia (Teatr Nowy), 13. Najczęściej spotykany w pierścionku, 14. Jednolity blok kamienny, 15. Zdarzenie wywołujące zgorszenie publiczne, 16. Artysta, pisarz, naukowiec, który otrzymuje nagrodę, 20. Imię

Rachmaninowa, 21. Zbudował Kanał Sueski, 22. Nazwa plemienia germańskiego, 26. To czego ludziom brak w postępowaniu z innymi, 28. Marzenie błądzącego w pustyni.

Termin nadsyłania rozwiązań — 10 dni.

JAN JANISZEWSKI

odgłosu

str.

# OPERACJA

## „całuję rączki”

Ściele powtarzających się napa-  
dach rabunkowych na terenie  
województwa. W wielu meldun-  
kach powtarzają się te same ry-  
sopisy i te same szczegóły.

Wysoki, przystojny brunet, lat  
około 30 pojawia się zawsze z je-  
dnym lub dwoma mężczyznami.  
Często przedstawiają się jako  
funkcjonariusze MO przybyli ce-  
lem dokonania rewizji. Przybyli  
brunet za każdym razem „całuje  
rączki” znajdującej się w miejscu  
napadu kobiety. Po czym terro-  
ryzuje obecnych pistoletem, na-  
stępnie kompani rabują pieniądze  
i kosztowności. Całowanie w rę-  
kę nie jest tu pustym gestem.  
To metoda „pracy”. Szokuje na-  
padniętych.

### Początek śledztwa

Kapitan Biel, oficer Wydziału  
Operacyjnego K. MO w Krako-  
wie, jest młodym mężczyzną, cho-  
ciaż od ponad 10 lat pracuje w  
milicji. Jemu właśnie powierzono  
kierowanie grupą oficerów, którą  
powołano dla likwidacji bandy  
„przystojnego bruneta”. Kapitan  
Biel nie ma zbyt dobrego mnie-  
mania o literaturze kryminalnej.  
Nawet o książkach, które my —  
laicy — uważamy za wyjątkowo  
dobre wyraża się, delikatnie mó-  
wiąc, bez uznania. A tu, masz ci  
los! Zabiera się do sprawy jak  
gdyby żywcem wyjętej z „kry-  
minału” i to raczej kiepskiego.  
Tajemniczy gentleman-bandyta,  
który najpierw uprzejmie się kla-  
nia, całuje kobiety w rękę, aby  
potem...

Późnym sobotnim popołudniem  
w pokoju kapitana Biela zbiera  
się kilku oficerów. Trzeba usta-  
lić plan działania, plan wstęp-  
nych czynności śledczych. Począ-  
tkowo — zwykle czynności powta-  
rzające się przy każdej tego typu  
sprawie. A więc wizja lokalna w  
miejscu popełnionych przestępstw,  
przesłuchanie poszkodowanych,  
drobiazgowa analiza techniki  
działania bandy.

### Koronkowa robota

Po tygodniu są już pierwsze  
wyniki. Prawde powiedziawszy  
należałoby raczej napisać, że wy-  
ników nie ma. Chociaż...

Bandyci nie pozostawiają po  
sobie żadnych śladów, żadnych od-  
cisków palców. „Koronkowa robo-  
ta” każe sądzić, że banda składa  
się ze „starych fachowców”. Dzia-  
lają szybko, miejsca napadu usta-  
lają prawdopodobnie dużo wcze-  
śniej, starannie je przedtem ob-  
serwując, zjawiają się bowiem  
zawsze wtedy, gdy w mieszkaniu  
przebywa minimalna ilość domo-  
wników, gdy w miejscu napadu  
nie ma mężczyzn. To wszystko,  
co ustaliło śledztwo. Wyglądało  
na to, że bandyci nie byli nowi-  
cuzkami. Dlaczego więc rozpo-  
częli swą działalność dopiero te-  
raz? Czyżby tak długo marnowali  
swoją „talent” bezproduktywnie?

Przyczyn może być oczywiście  
bardzo wiele. Może to być banda  
z innego województwa, przeby-  
wająca w krakowskim tylko na  
gościnnych występach, mogła po-  
wstać niedawno z ludzi, którzy  
należeli dotąd do innych band,  
lub z ludzi, którzy niedawno wy-  
szli z więzienia.

Podczas sobotniej narady grupy  
kapitana Biela zapada decyzja:  
sprawdzić akta prowadzonych do-  
tąd przez milicję spraw rabun-  
kowych, porównać czy któraś z  
band likwidowanych w latach  
poprzednich nie posługiwała się  
podobnymi metodami co banda  
„tajemniczego dżentelmena”.

### Strzępki kartki?

Przez kilkanaście następnych dni  
od wczesnego ranka do bardzo  
późnej nocy oficerowie ścigają nad  
opasymi tomiskami akt. Wertują  
kartę po karcie, porównują spo-  
soby działania najróżniejszych  
band, rysopisy bandytów ze spo-  
sobem działania i rysopisami ban-  
dy „tajemniczego dżentelmena”.  
Nie wolno pominać żadnego szcze-  
gółu. Każdy, najmniejszy dro-  
biaż, może okazać się kluczem  
do rozwiązania zagadki.

W tym czasie napływają nowe  
meldunki o występach bandy  
„przystojnego bruneta”. Znow  
dokonano napadu z bronią w rę-  
ku w Krakowie, Zakrzowie, i je-  
szcze raz w Krakowie. W czasie

napadu na mieszkanie Handzli-  
ków w Krakowie bandyci wrzu-  
cili do pieca podarte strzępki ja-  
kieś kartki, na której uprzednio  
— podając się za funkcjonarius-  
zy milicji — spisywali „protokół  
rewizji”. Strzępki kartki starannie  
naklejone na pergamin wyglądają  
na jakiś wojskowy druk. Skąd  
znalazł się w rękach bandytów?  
Banda popełniła pierwszy błąd.  
Czy będzie on nitką prowadzącą  
do kłębka? Strzępki kartki zo-  
stają oddane do ekspertyzy w  
Wojskowej Służbie Wewnętrznej.  
Eksperti stwierdzają, że kartka  
jest 23 i 24 stroną wojskowej  
książeczki strzeleckiej. Książecz-  
ki te były wydawane żołnierzom.  
Nie stanowiły jednak druków ści-  
ślego zarachowania. Ustalenie  
więc w czyjej książeczce brak  
tych stron jest niemożliwe. Na-  
dzieje oficerów zbladły. Banda  
popełniła błąd, ale na razie nie  
wpłynął on na losy jej członków.

### Wielka gra

Zwierzchnicy są zaniepokojeni.  
Czy grupa kapitana Biela nie tra-  
ci czasu nadaremnie, grzebiąc się  
w starych papierzyskach? Każdy  
dzień, który bandyci spędzają na  
wolniści może być brzemienne  
w następstwa. Pistolet bandytów  
jak dotąd nie wystrzelił. Ale co  
będzie jutro, pojutrze? A może  
właśnie dziś?.. Może właśnie  
dzisiaj dzisiejszy będzie dla kogós  
ostatnim dniem życia, może śmiertelny  
strzał pada właśnie w tej chwili?  
Świadomość, że od naszego dzia-  
łania, pomysłowości, zawisło życie  
człowieka, a nawet życie wielu  
ludzi, nie sprzyja spokojowi ner-  
wów.

Trwa wielka gra, w której  
stawką jest prawdopodobnie  
ludzkie życie. Tymczasem żmud-  
ne badanie akt ciągle nie przy-  
nosi rezultatów. Od zlikwidowa-

nia niektórych band minęło wię-  
cej niż 10 lat, bandyci mogli się  
„unowocześnić”, zmienić metody  
pracy. Ale kapitan Biel jest in-  
nego zdania. Bandyci — powiada  
— jak kiepscy artyści wpadają  
w manierę, w rutynę i niechętnie  
zmieniają sposoby działania.  
Kiedy już wydawało się, że kil-  
kunastodniowa praca poszła na  
marne, a w gabinetach zwierzchni-  
ków rozpoczęły się dyskusje  
nad opracowywaniem nowej kon-  
cepcji rozszyfrowania bandy „ta-  
jemniczego dżentelmena”, wtedy  
właśnie zaświatała pierwsza na-  
dzieja...

Porucznik Stok wertował wia-

śnie ostatnie karty akt dotyczą-  
cych działającej w 1945—46 ban-  
dy „Siekiera”. Nagle uwagę jego  
zwróciło takie oto zdanie na po-  
zółklej od starości kartce: „Po-  
dejrzany często najpierw całował  
kobiety w rękę, po czym terro-  
ryzował obecnych bronią”. Ban-  
da „Siekiera” wchodziła w skład  
bandy „Ognia” i należała w owym  
czasie do najbardziej groźnych.

Jedno zwzaskie w tym wszyst-  
kim niezbyt się zgadzało. Czło-  
wiek, o którym była mowa w ak-  
tach został w 1947 roku w styczniu  
skazany na karę śmierci.

(C. d. n.)

### Za tydzień:

„Siekiera”? — Schemat kontaktów. — „Byłem gościem na  
chrzcinach... — Przypadek pod barem „Podgórkim”. — „Stać!  
Ręce do góry!...” — Ludzie z wyrokami śmierci.



### W najbliższych numerach:

## CZARNY MATWIEJ albo dziś wieczorem strzelano

(jedenastoktowe libretto operetki zbrojeckiej)

Tekst: ZYGMUNT FIJAS Ilustracje: S. IBIS-GRATKOWSKI

### Treść:

W lesie grasuje zgraja zbroj-  
ców. Połuje na barona Caruso-  
Hydrargir, wielkiego miłośnika  
kobiet, recenzenta muzycznego,

obezarnika i mistrza sztuki chiń-  
skiej w jednej osobie.  
Ale — jak powiada autor —  
nie uprzedzamy wypadków,

### WLADYSŁAW RYMKIEWICZ

### Strasznie ciekawe, wręcz nieprawdo- podobne, a przecież prawdziwe

## ROZMAITOŚCI STAROPOLSKIE

czyli

## SPÓR O CAREWICZA

Redakcja „Odgłosów” pro-  
siła mnie, żebym zamknął  
cykl felietonów o Marynie  
Mniszchównie i Dymitrze  
(p. Nr. 10—14 „Odgłosów”)  
zakończeniem, z którego czy-  
telniccy mogliby wyprowa-  
dzić wniosek, kim był w rze-  
czywistości osławiony care-  
wicz?

Sprawa to niełatwa. Jest  
rzeczka zastanawiająca, że  
spór o osobę zagadkowego  
Moskiewicza rozpalał namię-  
tności współczesnych w ta-  
kim stopniu, który nas dzi-  
siaj zdumiewa. Wrogowie  
obrzucali go stekiem wy-  
wisk tego rodzaju, jak: im-  
postor, zmyślnacz, wywioka,  
czarnoksiężnik, Łzędymitr,  
„rozstrzyga” (mnich rozka-  
pturzony).

Sądze, że oprócz względów  
natury politycznej wchodziły  
w grę momenty obrażające  
uczucia religijne katolików  
i prawosławnych. Ludzie  
śledemnowieczni wierzyli  
głęboko, że wszelka władza,  
a zwłaszcza — królewska,  
pochodzi od Boga. Znajdo-  
wało to swój wyraz w pom-  
patycznych, kościelnych uro-  
czystościach religijnych, w  
czasie których prymas obna-  
żał barki przyszłego monar-  
chy i namaszczał go olejem  
świętym, a następnie udzie-  
lał komunii, po czym, kładł  
na głowę koronę, zaś w pra-  
wą rękę wkładał berło,  
w lewą — złote jabłko, sym-  
bol globu ziemskiego, na  
którym z woli Boga obejmu-  
je władzę monarcha.

My dzisiaj, patrzymy ina-  
czej na te sprawy i zatę-  
wiamy je znacznie prościej,  
żeby nie powiedzieć — roz-  
sądnie). Przypuszczam, że  
gdyby jakiś oryginalny ogło-  
sił się następcą tronu księstwa  
Monaco lub księstwa Lich-  
tenstein, albo nawet — kró-  
lestwa Wielkiej Brytanii, to

nie wzbudziłby w katolic-  
kiej części naszego społe-  
czeństwa protestów natu-  
ry religijnej. Przed wojną  
chodził po ulicach Warsza-  
wy oryginalny w habicie, hra-  
bia Montfalk Potocki z No-  
wej Zelandii z jakimś męj-  
nym programem monarchis-  
tycznym. Ludzie kreśliли tyl-  
ko kółka na czole. Również  
roszczenia monarchiczne  
hrabiego Paryża z linii bur-  
bońskiej czy orleañskiej kwit-  
nowy dziś poblazliwym u-  
śmiechem. Nikt rozsądny  
nie łączy programu monar-  
chicznego ocalenia państwa  
z jakimiś przeżyciami o cha-  
akterze religijnym. Wspom-  
niałem o tym na margine-  
sie, jako o przyczynku do  
postępującej laicyzacji czyli  
zeświecczenia pojęć w nowo-  
czesnym świecie. Ale wró-  
my do naszego Samozwań-  
ca!

W XVII i XVIII wieku  
miał on swoich gorących o-  
brońców między innymi w  
osobach historyka — kronika-  
rza Pawła Piaseckiego i po-  
ety Juliana Ursyna Niemce-

wicza, którzy byli zdania, że  
tyle okrzyczany i wykłina-  
ny Samozwaniec był praw-  
owitym potomkiem cara Iwa-  
na Groźnego i uprawnionym  
pretendentem do tronu mos-  
kiewskiego. Dzisiaj history-  
cy zgodni są co do tego, że  
Dymitr I był szalbierzem,  
wątpliwość budził tylko py-  
tanie, czy był on czerlichem  
(mnichem) Griszą Otrepie-  
wem wysuniętym przez pol-  
skich magnatów i moskiew-  
skich bojarów do odegrania  
rol „carewicza”, czy jakimś  
innym tajemniczym młodzia-  
nem nieznanego pochodze-  
nia.

Dymitr pojawił się po raz  
pierwszy w Kijowie w 1601  
roku w monasterze pecer-  
skim jako czerniec, następ-  
nie przeniósł się do Hoszczy,  
gdzie uczęszczał do szkoły  
arian, uchodzących wów-  
czas za jeden z najbardziej  
postępowy i światły odłam  
ludzi w Polsce, wreszcie wi-  
dzimy go po różnych pery-  
petiach na dworze księcia  
Adama Wiśniowieckiego w  
Brahimiu. Tam po raz pier-  
wszy miał się zdradzić ze  
swym carskim pochodzeniem.  
Według jednej z licznych  
wersji stało się to w laźni.  
Mimoходом warto wspom-  
nieć, że laźnia śledemnowie-  
czna miała cenne właści-  
wości i zalety. Kąpiel odby-  
wała się tak, że na rozgrza-  
ne kamienie wylewano wo-  
dę i w obłokach pary sma-  
gano brzożowymi miotełkami  
ciało, co przyspieszało obieg  
krwi. (Zabieg wydaje się cał-  
kiem rozsądny!) Otóż, nasz  
Dymitr, jako dworzanin  
księcia Wiśniowieckiego, w  
laźni nie wywiązał się nale-  
życie z obowiązków poma-

gającego księciu w kąpiel i  
dostał po głębie. (Może za o-  
stro smagał miotełką ksią-  
żęcę cielsko?)

— Gdyby Wasza Miłość  
wiedziała, kim jestem — od-  
rzekł spoliczkowany — nie  
biłaby mnie po twarzy!

I na dowód prawdziwości  
swych słów wyjął spod żu-  
pana złoty krzyż wysadzany  
drogimi kamieniami, który  
jako carewicz miał otrzymać  
od ojca chrzestnego, księcia  
Mściśławskiego.

Wyobrażam sobie zdumie-  
nie księcia, który był pre-  
konany, że syn cara Iwana  
Groźnego został zamordo-  
wany przez cara Godunowa  
przed 15 laty w Ugliczu,  
gdzie przebywał z matką-  
wdową.

Otóż, okazało się (według  
wyjaśnień Dymitra), że le-  
karz nadworny w Ugliczu,  
Niemiec nazwiskiem Simon,  
uprowadził carewicza przed  
siepaczami, pozostawia-  
jąc w jego łożu towa-  
rzysza zabaw, syna bojar-  
skiego, którego nakrył we  
śnie szatami Dymitra i któ-  
ry to syn bojarzki miał paść  
w nocy ofiarą mordu.

Zachęcenie obletnicami Dy-  
mitra i możliwością odzyska-  
nia utraconych ziem po tam-  
tej stronie granicy, panowie  
połscy. Wiśniowieccy, Mni-  
szczy i inni w porozumieniu  
z królem Zygmuntem III  
Wazą, nuncjuszem papieskim  
i ołcami jezuitami wynieśli  
Samozwańca na tron mos-  
kiewski.

Zgraja awanturników żąd-  
nych łupów pociągnęła za  
Dymitrem do Moskwy. Zdo-  
lony i wzbudzający skądinąd  
sympatię Polaków młody car  
popełnił jednak na Kremlu

szereg rażących Moskiewczan  
błędów politycznych. Wy-  
kształcony przez szlachet-  
nych arian z Hoszczy w du-  
chu tolerancji religijnej, Dy-  
mitr już niezbyt nonszalan-  
cko odnosił się do bizantyń-  
skich obyczajów swych ro-  
daków. Drażniło Moskiewczan,  
że car nie przestrzega pos-  
tów i jada cielecinę; że po  
nocy spędzonej z niewiastą,  
uważaną za nieczyste stwo-  
rzenie, nie zażywa łaźni; że  
chodzi w polskim stroju i o-  
tacza się szlachtą polską i  
jezuitami; że sam wychodzi  
z Kremla i rozmawia za pan  
brat z pierwszym lepszym  
bradziaga, co nie przystoi naj-  
większemu monarsze świata,  
że po przyjeździe Maryny  
Mniszchówny do Moskwy  
odwiedza ją co dzień w kla-  
satorze i tańczy z nią na ba-  
lach (taniec cara był zbrod-  
nią w oczach zabobnego  
ludu moskiewskiego). Po-  
myślcie, Pomazaniec boży  
tańczył! że marnotrawił pie-  
niądze państwowe obdarow-  
ując Polaków; że pozwala  
szlachcie polskiej na hulani-  
ki i swawole w Moskwie.

Wszystko to razem dopro-  
wadziło do spleku, który za-  
kończył się zamordowaniem  
Dymitra Samozwańca.

W serii felietonów o Ma-  
rynie Mniszchównie i Dy-  
mitrze pominąłem ważny i  
charakterystyczny moment  
całej Dymitrady, a miano-  
wicie, sposób, w jaki Dymitr  
doszedł do władzy. Napiszę  
o tym na zakończenie w o-  
statnim felietonie z tego cy-  
klu pod tytułem: „Jak oco-  
wie jezuita Dymitra Samo-  
zwańca na katolicyzm na-  
wracali”.

ZBIGNIEW NIENACKI

# ZABÓJSTWO HERAKLIUSZA PRONOBISA

Powieść

ILUSTRACJE  
JERZEGO NOWOSIELSKIEGO

## STRESZCZENIE

Poszukujący zabójców swego przyjaciela Herakliusza Pronobisa — poeta Nataniel i publicysta Tomasz — przybywają do pałacu w Borowie, gdzie wypoczywa grono intelektualistów. W pałacu poczynają się dziwne sprawy. Prawie na oczach borowskiego towarzystwa giną bezcenne dzieła sztuki — obrazy, srebrna zastawa, zegar — antyk. Sytuacja tak się ułożyła, że pałac pozostaje w ścisłej izolacji — złodziej przebywa wciąż w pałacu i tu gdzieś ukryte są skradzione przedmioty. Podejrzany o kradzież jest prawie każdy z borowskich gości, każdy z nich bowiem prowadzi jakby „podwójne życie”.

W południe profesora Zanna i Stokrotkę odprowadziłem przed pałac do bryczki, która miała ich zawieźć na stację, na pociąg do Krakowa.

— Czy mógłby mi pan wyjaśnić — zapytałem grzecznie profesora — czemu w nocy, przed kilku dniami rozległ się hałas w pańskim pokoju? Przepraszam za niedyskrecję, ale sprawa ta bardzo mnie trapi...

— Drobniak. Łóżko się pode mną zawaliło. Och, te stare i wieczne trzeszczące łóżka w Borowie. Z ich powodu nie przyjadę tu nigdy więcej... A dzisiaj w nocy spadnie śnieg.

Stokrotka pożegnała się ze mną bardzo chłodno.

— Omyliłam się co do pańskiej osoby. Zauważę.

— Czy nie ma już dla mnie ratunku?

— Uśmiechnęła się.

— A może odwiedzi mnie pan w Krakowie?

— Z przyjemnością — powiedziałem, wiedząc, że nie dotrzymam przyrzeczenia.

Mistrz bardzo mnie za to potępił. Odbywaliśmy właśnie przedobiedni spacer po parku, pogoda była bowiem słoneczna, a powietrze tak ciepłe, że prawie wiosenne. Nataniel wskazał mi wśród pięknych gabinecików szpalerowych marmurowy nagrobek rzymski z łacińskim napisem, który brzmiał w tłumaczeniu:

„Bogom podziemnym, Acilii Kapitolinie Marek Winicjusz, syn Marka z gminy Fabijskiej. Salvianus, żonie najświetszej i najrzadszego przykładu.”

— Czy wiesz, Tomasz, że napis tego nagrobka spożytkował Sienkiewicz w „Quo vadis”? Marek Winicjusz, syn Marka z gminy Fabijskiej i jego najświetsza żona, Ligia Smutno mi, że tak źle obszedłeś się z tą, która mogła stać się twoją Ligią.

— Kogo masz na myśli, Natanielu?

— Córke profesora Zanna.

— Na Jowisza, lekam się, że nawet twoja edukacja intelektualna nienazbyt rozszerzyła horyzonty umysłowe tej przemilanej panienki. Nie na tym polega zło, mój Petroniuszu, że ja straciłem Ligię, ale że ty odzyszczasz swą dawną Eunice, która jutro ma tu zjechać wraz z całym majdanem.

— Przepraszam, kogo masz na myśli?

— Panią Ritę S. poctkę satyryczną.

Niewyraźnym uśmiechem pokrył Nataniel swój przestach. Ale w powrotnej drodze do pałacu wyjawiał mi ze zwykłą u niego chytryością:

— Wczoraj bąknął coś o swym pragnieniu wyjazdu. Przemyslałem twoje słowa. Jutro rano opuszczamy Borów.

— Och mistrzu, jakże ci jestem wdzięczny!

— zawołałem z ironią.

...

O 16 Poważny Prozaik miał pociąg do Poznania, gdzie zamieszkiwał wraz z żoną Eleonorą, „najrzadszego przykładu”. Podczas obładu czule zagadał do mistrza:

— Żałuję, Natanielu, że tak skąpo rozmawialiśmy o literaturze. Wiesz dobrze jak bardzo cenię twoje zdanie. Lecz złodziej wszedł nam w paradę i zamącił nasz spokój. Dales mi jednak chwilę niezwykłej radości. Mam na myśli chwilę zdemaskowania malarza Borówki. Tylko poeci wysokiej klasy jeszcze zachowali fantazję. Kiedyś mieli ją i prozaicy. Pamietasz: „Lydki, lydki, lydki, lydki, lydki”? Niestety, tać mało teraz dobrej poezji, tak mało dobrej prozy. Co robić? Co robić?

I Poważny Prozaik tak długo bezradnie rozkładał ręce, a w jednej trzymał nóż, a w drugiej dzierzył widelec — aż pouczył go mistrz Nataniel:

— A ty się w polityczne rozmowy nie wdawaj, nikogo się nie radź i nikogo nie słuchaj.

I choć przy obiedzie nie było pani Eleonory, jednak Poważny Prozaik aż się skurczył ze strachu.

Z kolei Grzegorzycy próbował pouczyć mistrza:

— Sieje pan defetyzm. Powiedzione zaś jest, że kto sieje wiatr, ten zbierze burzę.

Na to Nataniel:

— Napisano w XXXI przypowieści Salomona: nie odpowiadaj głupcowi wedle głupstwa jego, abys mu się nie stał podobnym; odpowiadaj głupiemu wedle głupstwa jego, aby nie myślał, że jest mądry. Stąd wniosek, panie Grzegorzycy, że trudno mi będzie dać panu odpowiedź, albowiem zasługujesz na wielkie głupstwo, którego wymyślić nie jestem w stanie.

...

Natychmiast po kolacji zjawił się u mnie mistrz Nataniel. Był w futrze, w kapeluszu.

— Ubieraj się! — rozkazał. — Nadchodzi ostatni akt dramatu.

— O nie! Nie! — zaprotestowałem. — Bądź łaskaw pozostawić mnie w spokoju. Nabrales mnie w sprawie Borówki, drugi raz nabrac się nie dam.

...

— Czytaj! — huknęli Grzegorzycy i „Kostek”. Lyknęli wina ze szklanek. Katarzyna Rokoko czytała wolno swym aksamitnym głosem:

„Jak kaže stary obycaj,  
Gdzie chcesz otwieraj i czytaj.”

Rokoko zamknęła oczy i na ślepo otworzyła książkę.

...

— Sprawa zdemaskowania Borówki należy do omyłek. Wyobraź sobie, ustaliłem dzięki sprzyjającym okolicznościom, że ten nędznik jest „przyjacielem” Pani z Wydawnictwa. Gdy ich nikt nie słyszy, rozmawiają ze sobą na „ty”, a oficjalnie „per pani”. Obludnicy. On jest żonaty, ona rozwódka. A ponieważ w Warszawie prawdopodobnie trudno im delectować się własnymi osobami, przyjechali razem do Borowa.

— Czy możesz jednak pozostawić mnie w spokoju? — zapytałem stanowczo.

— Nie. Zejdź do szatni, ubierz się ciepło i wyruszaj.

— Dokąd, na Boga?

— Psssst — mistrz położył palec na ustach.

Postuszenie ubrałem się i Nataniel wyprowadził mnie w noc gęstą od deszczu zmieszanego ze śniegiem. Wiodł mnie ostrożnie między pniami starych drzew w parku, wymijając szpalery żywopłotu, posągi i kamienne sarkofagi.

W pewnej chwili zorientowałem się, że jesteśmy na skraj parku obok wozowni.

— Pssst! — syknął ostrzegawczo mistrz Nataniel. A potem zaczął szeptać mi do ucha:

— Grzegorzycy, „Kostek” i Rokoko w sposób bardzo konspiracyjny umówili się tutaj na godzinę siódma. Przypomniałem sobie rozmowę, którą przypadkiem usłyszałem w bibliotece. Jestem pewien, że ta dobrana trójka ma coś wspólnego z kradzieżą... Jest w tej chwili piętnaście po siódmej. Zapewne są już w wozowni.

Byli. Zdradziło ich czerwone światełko w oknie wozowni. Deszcz ze śniegiem opuścił się na park nieprzeniknioną zasłoną i bez najmniejszej obawy, aby zauważono nas z oświetlonego wnętrza, podkradliśmy się pod okno.

... Na odwróconej do góry dnem ławce stało blaszane naczynie, a w nim paliła się jakaś mocno kopcąca ciec. Ten dziwaczny kaganek dawał blask nikły, widzieliśmy jednak wyraźnie panią Rokoko ubraną w swój wspaniały szlafrok, na który narzucone miała futro.

Grzegorzycy i „Kostek” nosili na głowach turbany ze skręconych ręczników kąpielowych. Wszyscy troje siedzieli na pochyłej desce i pili coś ze szklanek, najprawdopodobniej wina, bo obok taczek leżała opróżniona butelka.

To było jednak coś więcej niż zwykła pijatyka. „Kostek” trzymał na kolanach paczkę książek, a Grzegorzycy czytał głośno z małego notesu. Słyszeliśmy go dokładnie, okno wozowni miało bowiem wybite szyby.

...

— „... Kazik roznuł przed nim mgły zalegające nad wielką rzeką czasu.”

— Co? Co? Co? Co roznuł? Mgły? O rany, ha, ha, ha.

— Hi, hi, hi...

— A niech go kule biją! Mgły roznuł...

Pokładali się ze śmiechu, kulili, skakali po wozowni podrygując od chichotów. O mało nie wyrócili taczek z kaganikiem. Ocierali łzy z oczu i znowu się śmiali.

Rokoko czytała dalej:

— „... Rosły coraz szerzej, niby kręgi na wodzie, skrzące się horyzonty.”

— Nie! Ja dłużej nie mogę. Ratunku!...

„Skrzące się horyzonty”, „Rosły coraz szerzej... horyzonty”, ha, ha, ha...

— Hi, hi, hi!

— Jeszcze jeden horyzont dla redaktora „Horyzontów Filatelistyki”, ha, ha.

Mistrz Nataniel, który miał doskonały wzrok odczytał napis na książce i szepnął:

— Na Boga, te lotry naigrawają się z „Poko- lenia” Czeski.

A ci kwiczełi ze śmiechu, turlali się po wozowni, bokowali od nadmiaru wesołości.

— Uff! Dostyl! Następny na tapetę — ogłosił Grzegorzycy.

„Kostek” podał mu nową książkę.

— „Dwa łyki krytyki” Jan Grzegorzycy — odczytał autor.

— Ha, ha, ha — ryknęła cała trójka.

Nataniel szarpnął mnie za ramię i odciągnął od okna.

— Chodźmy stąd, Tomasz. To straszna scena. Okropna! Wstrząsająca!

...

Wszedłem do swego pokoju, przekreśliłem kontakt elektryczny. Spojrzałem na obraz i nieledwie krzyknąłem:

— Ach, wiem! Globus jest na pierwszym planie, wydaje się zbyt wielki. Zbyt wielki w stosunku do pozostałych elementów. Tak duży, że chyba człowiek mógłby się w nim ukryć. Ukryć?...

Jak szalony popędziłem do biblioteki. Dopadłem globusów i zacząłem oglądać je cał za całem. W pamięci słyszałem równy melodyjny, klawesynowy głos starego zegara: Dzyń, dzyń-dzyń-dzyń...

Do biblioteki zjrzął oficer milicji.

— Pozwól pan tutaj! Chodźże pan! — przywołałem go. A kiedy zbliżył się, począłem mu szeptać:

— Przyszło mi na myśl... wie pan... Zegar zginął, a ja z Grzegorzycykiem, gdy przechodziliśmy nocą przez małą jadalnię usłyszeliśmy z biblioteki bicie zegara. Wbiegliśmy tutaj, ale zegara jednak nie było. Przed chwilą przyszło mi na myśl, że może?.. Może globus otwiera się jak orzech, na dwie połówki? I w środku znajduje się zegar?

Milicjant nakrył mi dłoń usta,

— Bracie i Siostrzo Wspólnej Niedoli — głosił Grzegorzycy. — Naigrawaniu uległ już nr 108, Jerzy Putrament.

— Ha, ha, ha — zaniosła się śmiechem cała trójka, jakby przypomniałszy sobie coś niezwykle zabawnego.

— Uległ nr 108, Pomianowski; nr 93, Kruczkowski; nr 11, Simonow; nr 17, Hamera; nr 93, Babajewski; nr 14, Mandalian; nr 48, Wiszniewski...

— Ha, ha, ha — ryknęli śmiechem.

— Nr 3, Kazimierz Brandys...

— Ha, ha, ha — znowu jakby przypomnieli sobie jakiś żart.

— Nr 83, Lasota; nr 7, Bratny...

— Ha, ha, ha...

— Nr 19, Nataniel; liryki...

— Ha, ha, ha...

Nataniel syknął mi w ucho:

— A lotry, bandyci!

— Uległ naigrawaniu nr 29, Rudnicki; żywot własny. Kto da więcej? Kto następny?

„Kostek” podał Grzegorzycykowski pierwszą książkę z paczki, a ten przekazał ją Katarzynie Rokoko, zaśpiewali chórem:

„Jak kaže stary obycaj,  
Gdzie chcesz otwieraj i czytaj.”

Rokoko zamknęła oczy i na ślepo otworzyła książkę.

...

— Czytaj! — huknęli Grzegorzycy i „Kostek”. Lyknęli wina ze szklanek. Katarzyna Rokoko czytała wolno swym aksamitnym głosem:

„Jak kaže stary obycaj,  
Gdzie chcesz otwieraj i czytaj.”

Rokoko zamknęła oczy i na ślepo otworzyła książkę.

...

— Ani słowa, ani słowa, bo pana zamknę — pieklił się na mnie.

— Więc? Więc?... — bełkotałem.

Kiwnął głową.

— Tak. W tych globusach jest nie tylko zegar, ale płoćna zaginionych obrazów.

— ... No tak! — westchnąłem radośnie.

Przecież od początku było wiadomo, że skradzione rzeczy nie zostały wyniesione z pałacu.

— Robiliśmy szczegółową rewizję, ale nikomu z nas nawet przez myśl nie przeszło, że te globusy się otwierają. Zresztą baliliśmy się je ruszać, bo są zażytkowe. Złodziej uczynił z nich przechowalnie skradzionych rzeczy.

— Kto? Kto jest złodziejem?

Milicjant wzruszył ramionami.

— Ba, żeby to ja wiedział. W tym sek, że nie wiem. Oczywiście, ktoś z państwa, to znaczy z borowskich gości.

— Więc dlaczego zezwolił pan na wyjazdy?

— A co miałem robić? Nikogo za rękę nie złapałem. Facet skradł, schował w globusie i czekał sposobnej chwili, żeby te rzeczy wynieść z pałacu. Tylko, że okazał się zbyt zuchwały i potknął się na kradzieży zegara. Zegar nie jest mały i nie jest lekki. Kradzieży dokonano w ciągu dnia, złodziej bał się go nieść do dalszych pokoi. Zresztą miał bardzo niewiele czasu. Na tej podstawie domyśliłem się, że zegar znajduje się w pobliżu biblioteki, a może jeszcze w... bibliotece. Zwrociłem uwagę na globusy, począłem je uważnie oglądać, spostrzegłem, że się otwierają i znalazłem „zguby”. Wówczas zezwoliłem na opuszczenie pałacu. Ja także jutro stąd wyjadę...

— Pan także? Aha, rozumiem! Dopóki pan tu jest, złodziej będzie się lekał wyjąć z globusów skradzione rzeczy. Ale oczywiście przyjeżdże ktoś inny, ktoś po cywilnemu, w charakterze gościa, prawda? Będzie tu mieszkał i bacył na globusy.

Nagle zaniepokoiłem się:

— A... może złodziej wyjedzie stąd nie zabrawszy łupu? Może już wyjechał? I wróci po nie dopiero za miesiąc, albo za dwa?

— Proszę się nie obawiać! Jesteśmy ludzie cierpliwi... Pan podpisze zobowiązanie milczenia w tej sprawie. Nikt nie śmie dowiedzieć się co kryją globusy. O ich tajemnicy jak dotychczas wie tylko: złodziej, pan i doktor W.

Parsknąłem śmiechem.

— Z czego się pan śmieje? — zdziwił się milicjant.

— Ukryty w globusie zegar zaczął dzwonić o dwunastej w nocy. Byliśmy pijani i wydawało się nam, że mamy halucynacje słuchowe...

...

21 stycznia

W nocy nastąpił przymrozek i koła bryczki, którą wczesnym rankiem opuszczaliśmy Borów, przyjemnie turkotały na zamarznętej ziemi.

(d. c. n.)



Biblioteka. Pod oknami ogromne globusy.

W następnym odcinkach czytacie:

- o fałszerstwie opata Piotra
- o nowym pojawieniu się Czarnej Milady
- o dramacie Baldaricha -Baldrzycha

## NA-WZASACH

Czytaj



DOPRECIENIE NASZEGO TYGODNIKA DO MIEJSCA POBYTU WAKACYJNEGO ZAPEWNI SZ SOBIE WPLACAJAC KWOTE PRENUMERATY NA K TO PUP:K „RUCH” PKO ŁÓDŹ 7-6-57 Z ZAZNACZENIEM «ODGŁOSY»

str. 11

odgłosy

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”  
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79  
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł  
Redakcja nie zamawia kopii rękopisów nie zwraca  
Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUP:K  
„Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 7-6-579  
z zaznaczeniem na „Odgłosy”  
Druk. RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Z. 1905. VI. 58. M-4

# 13 SCENARIUSZY KONKURS DLA KINOMANÓW

(część druga)

Przed tygodniem drukowaliśmy sześć streszczeń, dziś zamieszczamy pozostałe i kupon konkursowy, wykonany przez Ibsa-Gratkowskiego. Przypominamy, że są trzy sposoby wzięcia udziału w konkursie. Można odpowiedzieć jedynie na pierwsze pytanie (podział filmów na dwie grupy), względnie wziąć udział w konkursie dodatkowym (ustalenie podpisów pod zdjęciami) albo zdobyć nagrodę podając prawidłowe brzmienie tytułów i wstawiając je na miejsce kryptonimów. Na uczestników każdej konkurencji czekają atrakcyjne nagrody książkowe.

Uwaga! Poprzedni numer „Odgłosów” nabyć jeszcze można w sklepie „RUCHU” przy ul. Piotrkowskiej nr 95.

## FILM Nr 7

W starożytnym zamku mieszkał hrabia Doret z dwiema córkami: Gizelą i Lenorą. Niewytłumaczona choroba wyczerpywała siły Lenory. Dziewczyna słabła z każdym dniem. Na szyi od czasu do czasu pojawiał się krwawy ślad, otwarta rana. Ten ślad zniknął po pewnym czasie. Studiując starożytne dzieła hrabia Doret doszedł do wniosku, że to tajemnicza siła ssie krew jego córki. To upiór starej kobiety, pochowanej na miejscowym cmentarzu opuszczał nocą swój grób i szukał wśród żyjących ofiary. Dopiero dzielny Dawid Gray z wioski Courtemperre z pomocą starego sługi unieszkodliwił upiora, a Lenora Doret wróciła do zdrowia.

## FILM Nr 8

W noc wigilijną 1525 roku poczciwy ksiądz Balaguere (który ma tylko jedną wadę: łakomstwo, kuszony jest przez szatana w postaci kleryka Garrigou. Przed pierwszą mszą nocną Garrigou poddaje proboszczowi tak świetne opisy uczy święte, że ksiądz — mimo gwałtownej obrony — zaczyna przyspieszać czytanie tekstu mszy do tego stopnia, że nikt z dostojnych i możnych wiernych nie może nadążyć za tekstem. Dzięki temu uczyta wprawdzie zostaje przyspieszona, ale proboszcz umiera i musi potem odprawić trzysta razy po trzy msze ciche, zanim uchylone mu zostaną wrota raju.

## FILM Nr 9

Akcja filmu rozgrywa się około roku 1925 w Leningradzie, gdzie poznajemy małego Saniego Grigoriewa i jego koleżankę Katię Tatarinową. Łączy ich serdeczna dziecięca przyjaźń, w której przeskodzą jest wuj dziewczynki, Nikołaj Tatarinow, kierownik szkoły. Jest on nauczycielem Sani. Tatarinow nie lubi chłopca i uważa, że jego towarzysztwo jest nieodpowiednie dla dziewczynki.

## FILM Nr 10

Leśniczy Koran poślubił młodą dziewczynę Zdenę, ale nie potrafił zaspokoić tęsknot jej dziewczęcego serca. W leśniczówce mieszkał młody pomocnik Korana Svijskiy. Między Zdeną a Svijskim nawiązał się romans. Zdena przekonała się jednak o nicości swojego kochanka i zaprzęgnęła zerwać ciężący jej związek. Opośdał leśniczowski mieszkał ze swą córką Kasią gajowy Wawruch. Walka z kłusownikami wypełniała życie starego służbisty. Najgroźniejszy z kłusowników — Madara zostaje sama w swym pustym domu. Na dworze huczy burza. Porywisty wiatr przewraca świecę i powoduje pożar domu. Zobojeźniła na wszystko Madara idzie, ku rzęce i ginie w jej falach.

## FILM Nr 12

Mały, prowincjonalny garnizon. W ciszę pogodnego poranka wdziera się głos trąbki, dochodzący z koszar: pobudka. Młody oficer dragonów — porucznik Armand — szybkim krokiem wraca do swej kwatery. Musi zdążyć na apel poranny i wymarsz na zajęcia. Na kwaterze czeka go niespodzianka. Przybyła pod wieczór jedna z jego wielbi-cielek, całą noc czekała na niego, podczas gdy on...

## FILM Nr 13

W dawnej Rosji carskiej, za panowania Mikołaja I, przywódca ruchu socjalistycznego pod dowództwem rady Pietraszewskiego związują tajne stowarzyszenie, które ma na celu obalenie caratu i utworzenie państwa socjalistycznego. Do stowarzyszenia tego należał również i Dostojewski, mło-

pod ciosami kompanów swojej ofiary. Los uwolnił Zdenę od niegodnego kochanka a Luizla od groźnego rywala. Potem Luizl poślubił Kasię.



## FILM Nr 11

Młody, przystojny parobek Andrs kochał się w dziewczynie imieniem Madara. Młodzi postanowili się pobrać. Na przeszkodzie ich związkowi stanął gospodarz Andrsa, bogaty i stary Migla, który również zalecał się do Madary.

Migla zdołał olśnić dziewczynę swym majątkiem i perspektywą wygodnego życia i poślubił ją. Na weselnym przyjęciu Andrs po raz ostatni tańczy z Madarą. Bolesnie odczuwa zdradę. Kielich wina podany mu przez Miglę zgniatą w palcach. Gospodarz domyśla się przyczyny tego wzburzenia i wypędza Andrsa z pracy. Długo tuła się młody parobek po świecie nie znajdując nigdzie zajęcia. Jego matka umiera z nędzy. Później spotyka on Lięną, która kiedyś wraz z nim służyła u Migli. I wreszcie w końcowej partii filmu Madara walczy z Lięną o serce Andrsa.

Opełnana żądzą zdobycia go, kobieta odwiedza Lięną i ofiarowuje jej znaczną sumę byle tylko ta zrezygnowała z Andrsa. Spotyka ją odmowa. Madara, u której rodzice Lięny są zadłużeni, przeprowadza licytację i pozbawia ich wszystkiego — nawet domu. Teraz Lięna opuszcza wraz z rodzicami wioskę, Andrs podąża za nimi.

Madara zostaje sama w swym pustym domu. Na dworze huczy burza. Porywisty wiatr przewraca świecę i powoduje pożar domu.

Zobojeźniła na wszystko Madara idzie, ku rzęce i ginie w jej falach.

dy wprawdzie, ale głośny już podówczas literat.

Działalność Pietraszewców daje się bardzo we znaki „ochranie”. Spiski w wojsku i zamachy na wybitne osobistości, są nieomal na porządku dziennym. Najspytliwiej szpiedzy pracują nad zdemaskowaniem stowarzyszenia. Przez długi czas jednak „ochrans” była zupełnie bezsilna, wreszcie niejaki Antonelli wydaje wszystkich przywódców w ręce żandarmerii. Wszyscy zostają skazani na śmierć. Car jednak, tuż przed rozstrzelaniem, zmienia im karę śmierci na ciężkie roboty. — Dostojewski, skutkiem okropnych przeżyć w katordze zmieniła przekonania, a młode pokolenie jest oburzone jego przemową na wieczorze jubileuszowym i zarzuca mu zdradę.

Uwaga!  
Termin nadsyłania kuponów mija z dniem 15 lipca 'br.



## WIDMO

Henri Georges Clouzot, autor filmów z dreszczykiem („Morderca mieszka pod 21”, „Kto zabił?”, „Cena strachu” i in.), przedstawia nam tym razem „Widmo”, rzecz dosyć niecodzienna. Objawiają się przy okazji dwa zjawiska: kapitalny scenariusz, napisany przez Clouzota i Geronimiego na podstawie powieści fenomenalna kreacja aktorska, stworzona przez dosyć mało znaną dotychczasą naszą widowni Simonę Signoret. Rzecz jest tym ciekawsza, że jej pierwowzór literacki (powieść Pierre Boileau i Thomas Narcejaca pt. „Celle qui n'etait plus”) nie był wydany w przekładzie polskim.

Po wyjątkowo długiej przerwie zapełnianej namiastkami „Widmo” jest pierwszym naprawdę sensacyjnym filmem, który pojawia się na naszych ekranach. Akcja filmu jest fascynująca a pointa stanowi absolutnie zaskoczenie dla przynajmniej 90 proc. widzów obecnych na sali. Pozostali albo do końca nie wiedzą, o co chodziło, albo wszystko co najciekawsze wcześniej usłyszeli od znajomych. Bo „Widmo” jest filmem, który zmusza do dyskusji na swój temat, wbrew zaleceniom reżysera i jego apelowi. Clouzot prosi widzów, żeby nie opowiadali nikomu, kto jeszcze filmu nie widział, jak się kończy cała makabreska. Recenzent przyrzeka, że też niczego nie zdradzi. Chociaż o jedno warto się pokłócić: „Wiadomości Filmowe” napisały: „Ujawnienie przedczesne pointy finałowej pozbawia sensu cały eksperyment rozrywkowy tego filmu”. Ładny eksperyment rozrywkowy! Brr!

„Widmo” to film, który odbywa się bez cudactw formalnych i wyszukanych sposobów ot, choćby „Ceny strachu”. Tutaj pierwszą rolę gra scenariusz, dający wystarczająco niezwykłą sytuację fabularną. Wypada jednakowoż odnotować, że ta sytuacja została z wyjątkowym pietyzmem ukazana w wersji ekranowej. Trafna obsada ról dała przekonujące postaci. Obok Simone Signoret (Nicole) występuje w „Widmie” czołówka znakomitych aktorów (Paul Meurisse, Noel Roquevert), a wśród nich Charles Vanel, który w „Cenie strachu” odtworzył postać Rumuna Johny. Więcej jednak uzyskał Clouzot dzięki swojemu nie-



zawodnemu sposobowi — drobniagowemu ukazywaniu mechaniki zdarzeń.

Oczywiście — gdyby nie rodzaj zakończenia filmu, gatunek jego pointy a zarazem sens całego dramatu, wtedy można by mówić o niewątpliwej manierze reżysera. Bo ten sam sposób, przejawiający się w dokładnym, opisowym pokazywaniu każdego kolejnego okrucieństwa — poczytany być może za najłatwiejsze zbudowanie nastroju. Tu jest inaczej. Dzięki grozie towarzyszącej wypadkom — zakończenie nabiera cech prawdopodobieństwa, a filmy Andre Cayatte'a (uznawane przez niektórych za sensacyjne!) stają się przy „Widmie” początkowymi powiastkami dla dzieci. Pod tym względem film Clouzota porównać można jedynie z niektórymi obrazami Hitheocka.

Pozostaje odwieczny problem, któremu trzeba tutaj poświęcić chwilę uwagi. W jakim stopniu „Widmo” jest zjawiskiem artystycznym? Czy jest nim w ogóle? Wydaje mi się, że podział filmów na artystyczne i nieartystyczne przy kierowaniu się rodzajem zawartej w nich anegdoty — spokojnie można odłożyć do lamusa. „Widmo” na pewno nie jest pełnowartościowym zjawiskiem artystycznym w kinematografii. Ale nie dlatego, że jest to film sensacyjny. Ani nie dlatego, że jest to obraz pozbawiony reprezentatywnej, humanistycznej idei. Wydaje mi się natomiast, że „Widmo” nie jest zjawiskiem o randze artystycznej przez to, że jest to film wprawdzie zrobiony bez zarzutu, ale zarazem nieodkrywczy warsztatowo i nic nowego nie wnoszący do sposobu robienia filmów, praktykowanego od lat w kinematografii. Jest to jedyne kryterium, które uważam za słusne przy ocenie artystycznej dzieła. Jest jednak droga apelacji od tego wyroku! „Widmo” to przecież jedyny bodajże film współczesny, który... nawiązuje do awangardy. Bo działanie (pokazywanego w zbliżeniu) oka ludzkiego na widowie — odkrył już Luis Bunuel w „Psie Andaluzyjskim”, przed trzydziestoma laty.

EDWARD ETLER



## POKŁOSIE KONKURSU

W związku z głośnym konkursem na gwiazdę filmową — także i „Głos Robotniczy” przeprowadził rozmowę z p. Anatolem Kobylńskim, kierownikiem sekcji angażowania statystów. Z rozmowy, publikowanej na łamach „Głosu Robotniczego” w dniu 10 czerwca, dowiadujemy się po dwakroć, że finalistki konkursu wystąpią w filmie pt. „Ostatnia strzała”.

Jest to dla nas olbrzymią niespodzianką, ponieważ nie wiedzieliśmy, że rodzima kinematografia przystąpiła do produkcji obrazów o tematyce indiańskiej. Obawiamy się jednak, że chodzi tu jedynie o film pt. „Ostatni występ”, nakręcony przez Jana Rybkowskiego wg scenariusza Scibora — Rylskiego.

## ZMIANA TYTUŁU?

Niedawno w dzienniku wieczornym dała się słyszeć informacja, iż zespół filmowy „Zygzak” kończy pracę nad nowym filmem krajowej produkcji pt. „Kłosze szczęścia”.

## Za tydzień:

Elsa Martinelli w życiu prywatnym



## SCENARIUSZY KUPON-KONKURSOWY

IMIĘ I NAZWISKO.....

ZAWÓD.....

ADRES.....

FILMY DAWNE (numery).....

FILMY WSPÓŁCZESNE (nr-y).....



## Konkurs dodatkowy

ZDJĘCIE KONKURSOWE NR.1 PRZEDSTAWIA.....

ZDJĘCIE KONKURSOWE NR.2 PRZEDSTAWIA.....